

Wojna polsko-indiańska? – 3

7 sierpnia 2014

W latach 1850-1914 do południowej Brazylii przybyło ponad 100 tysięcy osadników polskich, niemieckich i włoskich. Proces ten przyczynił się do eksterminacji ludu Xokleng.

LUCENA, LINIA MOEMA I WZGÓRZE TOIÓ. PRZYPADEK POLSKICH OSADNIKÓW

Według notatek Edmunda Woś Saporskiego w latach 1869-1912 do Brazylii przybyło 115 986 emigrantów pochodzenia polskiego. Zgrupowania wychodźców polskich rozlokowały się w rozproszeniu w granicach stanów Paraná: (50722 osoby), Santa Catarina (6950), Rio Grande do Sul (32 600) i Sao Paulo (13 500). Ogółem zaś w latach 1870-1907 Brazylia została zasilona populacją 2,328 mln imigrantów. W statystyce tej znajdujemy 56,4 tys. Niemców; 54,5 tys. Włochów i około 120 tys. przybyszy pochodzących ze Słowiańszczyzny oraz ziem zajmowanych przez carat rosyjski, w tym przede wszystkim Polaków i Ukraińców. Szacunki Ministerstwa Spraw Zagranicznych Niemiec wskazywały, że w roku 1891 w południowej Brazylii żyło 200 tysięcy ludności o rodowodzie niemieckim. Tak wielki zastrzyk demograficzny, siłą rzeczy, nie gnieździł się w miastach wybrzeża, a ruszał wszędzie w głąb lądu by brać ziemię w posiadanie lub trudnić się dochodowymi interesami. Ten sam proces następował w prowincjach południa. Przemawiały za tym dwie tendencje. Z jednej strony chciano zapewnić mocne i w pełni kontrolowane połączenie między Paraną i Rio Grande do Sul. Stąd kompanie handlowo-osadnicze, kontrolujące rozrost kolonii starały się osadzać przybyszy na przyczółkach jeszcze nie zdobytych. Z drugiej natomiast początkowo tanie grunty na wybrzeżu, skutkiem paropokoleniowego, zasiedzenia ulegały komercjalizacji i były za drogie dla początkujących osadników.



Kiedy więc w 1880 roku bracia Hermann i Bruno Heringowie otwierali pierwszą firmę przemysłową w Santa Catharinie – fabrykę koszul, innych, a wśród nich Polaków rzucano w ostępy nieznane. Wyprawiani w najodleglejsze zakątki osadnicy otrzymywali podstawową pomoc od kompanii w postaci ziemi, drobnego sprzętu i nasion pod zasiew. Wsparcie te pomagało w starcie nieznacznie – zanim śmiałkowicie sami się nie zagospodarowali pędzili żywot w warunkach ciężkich i nie sanitarnych, stłoczeni w barakach. Nie wiele nowych osad w tym czasie miało równie trudny start jak kolonie położone na południe od rzeki Rio Negro. Ulokowano tam dwie osady: Augustę Victorię , zamieszkaną przez kilkusetosobową społeczność polsko-niemiecką oraz Lucenę przechrzczoną później na Itaiópolis. Z tej ostatniej osady wyprowadzono następnie izolowaną linię osadniczą Moema, która stała się szczególnie narażona na aktywność Indian. Lucena powstała w maju 1891 roku. Jak podaje Józef Siemiradzki: „pierwotnie sprowadzono tam Niemców, których pozostało tylko 11 rodzin na miejscu oraz Irlandczyków (260 osób), którzy wszyscy powrócili do Kurytyby, żądając odesłania do Europy i omal nie zabiwszy przytem angielskiego konsula”. Dopiero przybycie zaciągu wychodźców polskich wzmocniło Lucenę i mimo przeciwności, pozwoliło jej się ostać.

Pierwszych mieszkańców Luceny było stosunkowo niewiele,

zaledwie 1450-2000 osób. Osada została populacyjnie wzmocniona cztery lata później dzięki napływowi ludności ukraińskiej i polskiej, z Bukowiny i Galicji. Wielu spośród nowych przybyszy przenieśli się na linię Moema. Osadnicy obrządku grekokatolickiego nie mieli najlepszych stosunków z rzymskokatolickim księdzem polskim z Luceny. Osiedlając się w tym nienaruszonym przyrodniczo miejscu, potrzebującym urządzenia pod rolnictwo, nie spodziewali się zapewne że ich problemy natury interpersonalnej będą wykraczały poza utarczki sąsiedzkie z ludźmi ze znanego im kręgu kulturowego. Wśród agentów kompanii osadniczych, tak jak czterdzieści lat wcześniej, panowała milcząca zgoda, co do nie płoszenia rekrutów opowieściami o uprowadzających inwentarz i atakujących osadników Botokudach. Rzeczywistość można było oczywiście zniekształcić, ale nie dało się jej oszukać. Gdy polscy i ukraińscy koloniści stawiali chaty lub przystępowali do wycinki, natrafiali na zauważalne symbole, a później akty sprzeciwu. Przybysze niszczyli nie tylko zadrzewienie zapewniające bytowe przetrwanie prowadzącej wędrowny tryb życia ludności tubylczej, ale co gorsza, ulokowali się w granicach cmentarzy i miejsc świętych dla tutejszych Xoklengów. Nim rzeczywiście xokleńscy wojownicy sięgali po opcje siłową, starali się wcześniej przestraszyć ludność napływową, zdobyć kontrolę nad jej zachowaniem. Gdy Polacy wycinali las Indianie zaraz gwizdali, uderzali kijami o drzewa, wypuszczali strzały. Na drodze zostawiali zwoje roślin, starając się zaznaczyć granice, gdzie dalej nowym pójść już nie można, pragnęli zachęcić ich do odwrotu. W nocy zaś podchodzili pod domy, wydawali z siebie okrzyki, rzucali w chałupy kijami i pukali.

Osadnikom nie w myśl był jednak odwrót. Sami przecież byli ofiarami wystawionymi na niebezpieczeństwo przez wiarołomnych ludzi którym zawierzyli udając się na nieprzyjazne pogranicze Luceny. „Cóż winni bowiem są koloniści polscy temu, że Brazylianie dzikich tępią tak niemiłosiernie i że osiedlają naszych na indyjskich cmentarzyskach” – komentował wydarzenia,

z perspektywy czasu Kłobukowski, sam notabene tracąc w ataku znajomego Skowrona, który książki wcześniej pożyczonej, nie zdążył mu zwrócić. Obecność osadników wchodzących coraz bardziej w głąb terytorium indiańskiego rozpoczyna wieloletni konflikt w zachodniej części Santa Cathariny i w południowej wtedy jeszcze Paranie. W 1896 roku dochodzi do szeregu zdarzeń na linii Moema, w których z rąk Xoklengów ginie 19 nowych kolonistów. Wśród ofiar zszokowani mieszkańcy liczą 3 mężczyzn, 9 kobiet i 7 dzieci. Napady oraz ich przebieg okazały się bezlitosne. Dyrektor kolonii nie docenił pogrózek i niepotrzebnie próbował uspokajać osiedleńców. W grudniu 1896 roku polskie straty na południe od Rio Negro odnotowała gazeta Kolonie Zeitung. Nieco później, w 1898 roku trzech kolejnych osadników zginęło w Iracemie, a w 1899 roku w okolicach Luceny Indianie zabili dziesięciu kolonistów prowadzących prace leśne.



Wydarzenia w odległej osadzie pozbawionej podstawowych linii komunikacyjnych wywołały tarcia dyplomatyczne angażujące Cesarstwo Austro-Węgierskie, brazylijski rząd federalny oraz prezydenta stanu Paraná; zapisy różnic zdań między stronami przechowywane są w Archiwum

Państwowym w Wiedniu. Po zderzeniu dwóch światów w okolicach Luceny i Moemy zastępca konsula Austro-Węgier w Kurytybie, Walter Pohl, wysłał swego kulturalnego attaché Jurystowskiego, by ten odwiedził kolonię i upewnił się co do jej sytuacji. Podróż konna trwała trzy dni. Dla austro-węgierskich dyplomatów było jasne, że osadnicy z Luceny, Moemy i Iracemy potrzebują broni i amunicji. Kierując się tą przesłanką, konsul Pohl zwrócił się do prezydenta stanu Parana, Francisco Xaviera da Silvy, by ten uruchomił środki lub kredyt umożliwiający osadnikom pozyskanie karabinów. Zaapelował również o to by rząd stanowy sam wziął na siebie obowiązek ochrony imigrantów. Walter Pohl nie ograniczał się tylko do ogólnych wzmianek, ale wprost zasugerował, że osoby odpowiedzialne za zarządzanie stanem Paraná powinny zatrudnić grupę bugreiros, by ta w akcie zemsty zabiła „dzikich”. Tajniki postępowania z Indianami w interiorze nie były więc obce wysokim europejskim dyplomatom. Lecz tu nagle zdziwienie. Francisco Xavier da Silva nie wydaje się entuzjastą radykalnych rozwiązań. Wbrew oczekiwaniom austro-węgierskich polityków odmawia twierdząc, że rząd nie tylko nie posiada pieniędzy, ale i że samo dozbrajanie osadników byłoby niebezpieczne dla porządku publicznego. Co więcej uznał Botokudów za nieszkodliwych, kontakt między osadnikami i Indianami określił natomiast jako ograniczony.

Mało tego! Nie tylko nie popiera, ale wręcz potępia! Co mogą myśleć zirytowani rezydenci ambasady austro-węgierskiej w Brazylii? Widzą w nim pewnie jeszcze jednego przedstawiciela wielkomiejskiej elity która przyzwyczaiała się do umieszczania Indian w sferze sztuki i literatury – taka mało sympatyczna odmiana południowoamerykańskiego russoizmu [2]. Kiedy oto co bardziej hardzi mieszkańcy obszarów przygranicznych strzelają do Indian parańska administracja nieprzyjemnie się patyczkuje. Na tym jednakże nie koniec. Francisco Xavier da Silva posuwa się dalej i rozpoczyna kampanię intensywnych ataków na politykę dyplomatów austro-węgierskich w prasie lokalnej, a nawet federalnej, krytykując wojnę eksterminacyjną wobec

rdzennej ludności stanu. W odpowiedzi, ambasador Cesarstwa Austro-Węgierskiego w Petropolis, Eugen Ritter von Kuczynski składa skargę do brazylijskiego ministra spraw zagranicznych, Olinto de Magalhães. Píše w niej o „leniwym” przewodniczącym stanu Paraná. Brazylijski rząd pragnął mieć dobre stosunki z krajami zapewniającymi dopływ imigrantów i ekonomiczną furtkę, zwłaszcza, że sam borykał się z poważnymi trudnościami gospodarczymi. Wobec zgłoszonego mu faux-pas, Magalhães nie pozostaje bierny i zgodnie z zamówieniem, za brak politycznego szacunku dla Europejczyków, śle gromy na administrację w Kurytybie.

Silna obecność dyplomacji austro-węgierskiej w Brazylii podyktowana była trzema zasadniczymi kwestiami. W stanie Parana przebywało nawet do 50 tysięcy wychodźców z obszaru Cesarstwa Austro-Węgierskiego pochodzenia polskiego i ukraińskiego, a byli przecież jeszcze Włosi. Należało robić wszystko, aby na obczyźnie zapalać w nich ducha solidarności i powiązań austro-węgierskich, należało tworzyć ową internacjonalistyczną więź. Służył temu między innymi kierunkowy kolportaż pism i książek. Alternatywą wobec tego było zagrożenie konsolidacji środowisk emigracyjnych w duchu nacjonalistycznym, a w przypadku importu tych treści do Europy, infekcja narodowowyzwoleńcza. W Wiedniu rozważano także na poważnie zagrożenie niemieckie, które może wychodźców wciągnąć w orbitę, o jakby nie było, pokrewnym germańskim rodowodzie. Mówiono zatem nie na żarty o „niemieckim niebezpieczeństwie” z uwagi na dwieście tysięcy imigrantów Rzeszy Niemieckiej w południowej Brazylii.

W trakcie debaty o tym, jak należy postępować z Indianami uchodzącymi za „dzikich”, takimi jak Botokudzi, przedstawiciele Cesarstwa Austro-Węgierskiego otrzymali nieoczekiwane, bacząc na ich obawy, moralne wsparcie od ukazującej się w Brazylii niemieckiej prasy o podłożu nacjonalistycznym. Celowały w tym przede wszystkim dwie gazety: Germania i Der Beobachter. Czasopisma te skierowane

były do imigrantów niemieckich i austriackich i traktowały ich tak, jakby byli obywatelami jednego, tego samego Imperium Niemieckiego. Ideologowie narodowi mnożący się w tym czasie w Niemczech utożsamiali język z narodem, a ponadto bronili niemieckiej supremacji etnicznej. Definicja narodu przez nich propagowana nie pasowała do profilu wieloetnicznej monarchii habsburskiej; tylko co trzecia osoba mieszkająca w jej granicach posługiwała się językiem niemieckim. W konflikcie na pograniczu stanów Parana i Santa Catharina, niemiecka prasa w Brazylii broniła jednak ofiar pochodzących z sąsiedniego mocarstwa europejskiego, nawet jeśli w rzeczywistości nie byli oni pochodzenia niemieckiego, a ukraińskiego i polskiego. Dla redakcji der Beobachtera wybór był oczywisty jako, że postrzegała te starcie w kategoriach rywalizacji między „nowym” i „starym” światem.

Dlatego zarówno Der Beobachter, jak i Germania popierały rozwiązanie siłowe polegające na wysyłaniu uzbrojonych bugrejów do kolonii, tak jak zaproponował to austro-węgierski konsul. Dla wzmocnienia swojej argumentacji redakcja der Beobachter w numerze z 1 maja 1901 roku alarmowała, że Botokudzi rozczłonkowują ciała swych ofiar – tak jak niegdyś portugalscy kolonizatorzy piętnowała swych przeciwników mianem „botokudzkich kanibali”. Prezydent stanu Parana mimo reprimendy nie wysłał do Luceny bugreiros. Zamarkował te zalecenie miękkim wybiegiem, ekspediując za Rio Negro grupę kontaktową z udziałem innych Indian, mającą pośredniczyć w pokojowym nawiązaniu stosunków z Botokudami. Misja została zainstalowana w domu Ignaca Nycza, który zginął we wcześniejszym napadzie. Z zamierzenia tego nie wiele wyszło, bo pozostawieni sami sobie w obcym otoczeniu „pokojowi Indianie” zaczęli podobno sami wypraszać o jedzenie i je podkraść osadnikom. Koloniści mieli na głowie teraz nie tylko Xoklengów, ale i tych oto wysłanników gubernatora parańskiego. Z tego powodu, w październiku 1900 roku dwóch wysłanników z Luceny przybyło do Kurytyby z prośbą o pomoc do konsulatu austro-węgierskiego skarżąc się na zabójstwa ze strony

Botokudów oraz na indiańskich posłańców gubernatora parańskiego których nie ze swej przewiny mieli na wyżywieniu. W tym samym miesiącu Towarzystwo Dobroczynności Austro-Węgierskiej (Österreichisch-Ungarischer Hilfsverein) rozpoczęło zbiórkę pieniędzy dla rodzin zmarłych. Czy pieniądze te poszły jedynie na podstawową pomoc dla poszkodowanych, czy też posłużyły zapewnieniu dotacji na zakup broni, o co wcześniej zabiegał Walter Pohl, nie sposób powiedzieć, gdyż dostępne źródła w Archiwum Państwowym Wiedniu kończą się na 1902 roku.

Na skutek niebezpieczeństwa otaczającego Moemę i Lucenę koloniści nie odważali się zapuszczać w las pojedynczo, łącząc się przy karczunku po kilka rodzin. Zbierali się również na noc u siebie bądź w karczmie u Kubiaka. Niektórzy porzucili domy. Na opuszczenie niegościnnych ziem zdecydowało się co najmniej 30 rodzin, lecz na miejsce ich pojawili się zaraz nowi. Społeczności przybyło na wyposażeniu broni; ci którzy mogli nabyli pistolety, rewolwery i winchestery, zwane przez ludność polską unisiestrami. Rychło zaczęto zawiązywać akcje odwetowe przeciw Indianom, a jednym z impulsów, który zgromadził pod broń kilkadziesiąt osób była napaść na gospodarstwo Brazylijczyka Salvadora Bueno. Powołując się na Kalendarz Polski ukazujący się w Porto-Alegre Ruy Christov Am Wachowicz zarysował kontury tamtych wydarzeń. Rzeczony przerażający atak nastąpił w 1900 roku zaledwie 9 km od Porto União. Pod nieobecność Salvadora bliżej nie znana liczba autochtonów wtargnęła i zaatakowała jego rodzinę. Nie sposób opisać przebieg wydarzeń. Drzwi były jednakże wypalone, a pierwsza komora domu zupełnie zniszczona. Na podłodze znaleziono ciała dzieci, chłopca i dziewczynki. W środku obok kuchenki siedziała żona rolnika, oczy miała szeroko otwarte, nadal wyglądała jak żywa. Napastnicy byli brutalni, na jej piersiach widoczne były ślady cięć. Tuż obok niej ciała dwóch kolejnych dzieci. Piąte dziecko, najmłodsze, nieobecne. „Rozpacz nieszczęśliwego ojca trudna była do opisania”.

Atak na gospodarstwo Salvadora Bueno który w sposób tak drastyczny pozbawił życia jego rodziny był prawdopodobnie elementem zemsty. Xoklengowie i właściciel domu mieszkali ze sobą zatargi już wcześniej. Tym razem postanowiono, że napad płazem nie przejdzie. Zajście stało się początkiem stosowania w tym regionie strategii bugreiros na szerszą skalę. Po pogrzebie rodziny Salvadora Bueno zwołano ochotników gotowych do wzięcia udziału w wyprawie odwetowej. Zgłosiło się 40 mężczyzn. Na czele ich stanął bugreiro Vaciano. Po sześciu dniach marszu drużyna odwetowa natrafiła na ślady upewniające jej członków, że są na dobrym tropie. O 8.00 nad ranem dnia następnego dojrzeli dym na szczycie góry. Vaciano podzielił zbrojnych towarzyszy na mniejsze formacje. Podchodząc pod obozowisko dojrzał kobiety chodzące wokół ogniska. Przygotowywały upolowaną zwierzynę i rozbijały rośliny przy użyciu kamiennych narzędzi. Uznawszy, że to najważniejszy moment ruszył z towarzyszami na obóz. Najpierw nastąpiły strzały, potem w ruch poszły maczety. Zaskoczenie było całkowite. Członkowie społeczności w ostatnim akcie nadziei, przerażeni, padali na kolana ściskając ręce. Nie było jednakże litości dla nikogo. Dnia tego zabito 29 Indian, nie licząc kobiet i dzieci. Jedynie trzem Xoklengom udało się uciec. Rzeź trwała kilka minut i prowadzona była własnoręcznie przez sześć osób.

W utarczkach z białymi w XIX wieku ze strony Xoklengów notowano głównie napady na pojedyncze domy i rodziny. Jak relacjonuje Ruy Wachowicz teraz miał nastąpić napad gwałtowniejszy, dodamy, skalą dostosowany do cezury który zwykli stawiać Indianom bugreiros. W lokalizacji Paciência Botokudowie zaatakowali dom i winiarnię należącą do João Gordo podczas gdy ten nie był obecny na miejscu. W trakcie napadu zginęły 23 osoby, w tym rodzina Gordo i wszyscy którzy w tym czasie przebywali wokół zabudowy. Indianie splądrowali dom rozrzucając wokoło wszystko co nie było im potrzebne. Po niszczącym rajdzie Xoklengów miejscowość tę nazwano „Wzgórzem Śmierci”. João Gordo poprzysiągł zemstę. Dołączył do ponad

tuzina mężczyzn, którzy przy asyście psów napadali na Indian. Jak kreślał jego sylwetkę recenzenci, stał się doskonałym bugreiro. Brał odtąd udział w wielu atakach na Xoklengów, wykorzeniając całe ich społeczności.

Potem głośno zrobiło się o nowym „wielkostopym” przywódcy Botokudów. Stopa jego mierzyła ponoć 40 cm długości. Osadnicy nazywali go „Wielką Stopą”. Po jednym z jego ataków na linię Moema Indianie zostali otoczeni przez 30 uzbrojonych mężczyzn, a to za sprawą tego, że osadnicy przyzwyczaili się żyć z zawsze załadowaną bronią. Walkę prowadził sam Martinho bugreiro. Śmierć poniosło 30 osób i to gorzej uzbrojeni Xoklengowie uchodzili z placu jako przegrani. Jak poświadcza Romão Wachowicz w nocy Indianie wycofali się i zbierali ciała zmarłych. Udali się w kierunku wzgórza Taió, które dla nich uchodziło za święte. Martinho bugreiro nie czekając na rozwiązanie poszedł za nimi i przypuścił nocny atak. Xoklengowie wtenczas spali w obozie położonym na wzgórzu. Prawdopodobnie byli odurzeni jakimś napojem ponieważ ci którzy nań spadli zobaczyli ludzi prawie całkowicie otępiałych, niezdolnych do wysiłku. Wielkostopy przywódca został kilkakrotnie postrzelony w klatkę piersiową. Martwego z ciekawości zmierzono. Olbrzym, jak informowano z podnieceniem, mierzył 2,12m. Indian z regionu wzgórza Taió spotkało to samo, co ich krewniaków w pozostałych regionach południowej Brazylii. Wiele indiańskich kobiet i dzieci zginęło w niewypowiedzianych aktach okrucieństwa, które zgotowali im bugreiros w tubylczych obejściach. Po nocnej masakrze na wzgórzu lokalni Xoklengowie wycofali się w głąb lasu, unikając dalszych strat. Nie mogło to jednak zmienić losu ich grupy etnicznej.

Polacy nie stali w pierwszej linii podczas tych napadów, chociaż i wśród nich zdarzali się ochotnicy. Śmierć osadników z rąk Indian, jak utrzymuje w swej publikacji Zenon Lewandowski „została przez pościg polski pod przewodnictwem ks. Iwanowa krwawo pomszczona”. Wreszcie koloniści polscy –

nie pozostawiając pola spekulacyjnego co do inwazyjnego charakteru swego osadnictwa – zajęli ziemie Botokudów, zarówno w odniesieniu do cmentarzyska, jak i rejonu wzgórza Taió, przekształcając je w pola uprawne.



Lucena i linia Moema to dwie nazwy, które najbardziej zapamiętane zapisały się w konflikcie jaki wywiązał się między osadnikami polskimi a Xoklengami. Jednakże Nadwiślanie wchodziło w zatargi z rdzennymi mieszkańcami południa Brazylii również na innych odcinkach osadnictwa. Było tak między innymi w osadzie Grão-Pará ufundowanej w roku 1882, gdzie pod egidą spółki kolonialnej „Empresa Colonizadora e Industrial” sformowała się wkrótce społeczność polsko-włoska. Mieszkało tam później jedynie 300 osób, jako że z przyczyn związanych z aktywnością ludności tubylczej około 1000 pierwszych mieszkańców opuściło kolonię, nie wykazując zainteresowania sąsiedztwem niepewnym i niebezpiecznym. Empresa Colonizadora e Industrial należała do czołowych kompanii osadniczych w Brazylii. Siedziba jej znajdowała się w Rio de Janeiro, gałęzią przedsiębiorstwa w Orleans kierował zaś pochodzący z Polski – Etienne Gaudenty Stawiarski. On też sprawował pieczę nad pomyślnością Grão-Pará. Stawiarski

urodził się w Częstochowie w 1856 roku, wraz z rodziną opuścił kraj po powstaniu styczniowym. Na obczyźnie doczekał się tytułu inżyniera. Ciepło był wspominany przez polskich podróżników i działaczy społecznych, badających życie polskich wychodźców. Pragnąc ułatwić im podróż wyprzedzająco posyłał dlań muły., wychodził im też na spotkanie. Opisywano go jako człowieka w średnim wieku, który opuścił kraj ze złamanym sercem, zatroskany o przyszłość ojczyzny. Cichy i pokorny Etienne Gaudenty, mówiono, poświęcił swoje życie pracy, zdobywając pełnioną funkcję dzięki talentowi i uczciwości. Poślubił Włoszkę. Kiedy pod Grão-Pará z rąk Botokuda zginęła mieszkanka kolonii, Stawiarski zorganizował wyprawę odwetową. Wysłannicy „Empresa Colonizadora e Industrial” zaatakowali obóz Indian, nie dając większych szans jego mieszkańcom. Zasiano śmierć. Triumfująca banda powracała unosząc jako łup łuki, strzały i kilku indiańskich chłopców. Zarządzający bezpieczeństwem kolonii Stawiarski nie wahał się zatem stosować wobec Indian strategii rozpowszechnionej wśród kondotierów kolonizacji południowej Brazylii – strzelać, zabijać i uprowadzać dzieci.

Polacy stanowili również dużą część robotników, którzy wtargnęli na ziemie Indian w trakcie prac infrastrukturalnych. W pierwszych latach XX wieku brazylijski rząd postanowił wybudować połączenie kolejowe pomiędzy São Paulo i Rio Grande do Sul, przechodzące przez terytorium Xoklengów, jak i pokrewnych im Kaingangom. Zbiorowy wysiłek zaangażował 4000 pracowników z całej Brazylii oraz imigrantów. Z ostatniej grupy najliczniejsi byli Polacy którzy borykając się z nie najlepszą sytuacją w osadach, opuszczali gospodarstwa w poszukiwaniu solidniejszych podstaw utrzymania swych rodzin. Prowadzące roboty na długich odcinkach załogi, od czasu do czasu, ściierały się z czającymi się w lesie xokleńskimi wojownikami. W listopadzie 1908 roku niemal cała ludność miejscowości Uniaõ Victoria wybiegła na stację kolejową po tym gdy nadeszła wiadomość, że zbliża się pociąg wiozący ciała pracowników zabitych przez Indian. Gdy otworzono drzwi wagonu

wśród nieboszczyków rozpoznano czterech Polaków.

KOLONIZACJA WŁOSKA. NOWA WENECJA I KRWAWA ŁAŻNIA NATAL CORALA

Włoscy wychodźcy stanowili jedną z najsilniejszych frakcji narodowościowych zasiedlających południe Brazylii. Synowie i córki Italii na szeroką skalę pojawili się w kolonii dopiero 2-3 dekady po rozpoczęciu eksperymentu przez Blumenaua. Nie obniża to w niczym wkładu pionierów z Mantui, Treviso i Sycylii w podboju, zwłaszcza południa Santa Cathariny. Kamień węgielny w dziele tym położono 28 maja 1878 roku, kiedy powołano do życia kolonię Urussanga. Toponimia miejscowości, jak początek każdej opowieści, miała w sobie coś romantycznego. Ludzi rozpoczynających nowe życie witał nad ranem śpiew ptaka „uru, uru, uru”, wokół osady rozciągały się natomiast bagna, czyli „sanga”. Tak oto osiemdziesiąt sześć włoskich rodzin osiadło w Urussandze, wiodąc egzystencję nie łatwą, lecz jeśli wierzyć świadectwu księdza Marzano, początkowo spokojną. Brazylijczycy i osadnicy mieszkający na niegościnniej ziemi od dłuższego czasu dziwili się dlaczego Włosi, w tym nawet dzieci, zapuszczali się w las bez broni i żadnej ochrony, nie bacząc na niebezpieczeństwa związane z dzikimi zwierzętami i ludnością tubylczą. Zahartowani mieszkańcy południa Europy zdawali się ignorować te przestrogi. Pierwsze cztery-pięć lat spędzili nie nękani przez protesty rdzennej ludności. Wyglądało to tak jak gdyby demiurg wyciął specjalnie dla nich ów mały raj na ziemi, bez bólu i wojny. Za nonszalancją zarzucaną nieostrożnym kryły się najczęściej powody przyziemne. Osadnicy włoscy, podobnie jak Polacy, borykali się z problemami pieniężnymi i nie od razu stać ich było na zakup broni. Wchodząc na ziemię Xoklengów z czasem nie mogli, co oczywiste, uniknąć konfliktu. Wszak na listach ofiar „pochodu cywilizacji”, wcześniej zdominowanych przez Niemców, odnajdywano włosko brzmiące nazwiska. Mimo przeciwności, ekspansja postępowała.

Po Urussandze, kolejny wielki krok włoscy koloniści w Santa Catharinie uczynili w 1891 roku. Opuszczając ziemię Starego

Kontynentu, Europejczycy zawsze chcieli zabrać ze sobą trochę tego, co stanowiłoby przedłużenie opuszczanej macierzy. Tworzono więc Nowe Amsterdamy, Nowe Jorki, Nowe Fryburgi oraz Nowe Brytanie. Skoro postępowali tak Holendrzy, Niemcy i Anglicy, to czemuż nie mieliby pójść w ślady ich Włosi? Trzydzieści lat po założeniu Urussangi, prywatna spółka Companhia Metropolitana ogłosiła powstanie Nowej Wenecji (Nova Veneza). Stara Wenecja, osadzona na wodzie, stanowiła symbol włoskiej świetności. Powstanie jej imienniczki za oceanem, zapowiadać miało powtórzenie sukcesu śródziemnomorskiego portu na amerykańskiej ziemi, a jeżeli to za wiele, to chociaż posłużyć podtrzymaniu w sercach wychodźców poczucia swojskości. Wzniesiona w czasie zmian ustrojowych w Brazylii Nowa Wenecja szczyliła się tytułem „pierwszej kolonii republiki brazylijskiej”. Świetlaną przyszłość dla niej przewidział jej założyciel, Miguel Napoli, przedsiębiorca pochodzący z Sycylii. Dążył on do stworzenia centrum migracyjnego dla dziesiątek tysięcy Włochów. Wiele rodzin opuszczało Italię upewnianych, iż osiądą w mieście przyszłości. Ziemia obiecana wizją którą ich sycono stanowiła w rzeczywistości glebę nie zaprzyjaźnioną z ostrzem sierpa i kosy.

Po przybyciu do miejsca przeznaczenia Companhia Metropolitana dostarczała osadnikom narzędzia, nasiona, a bywało że zwierzęta. Wsparcie te, a także ziemia wolna od ceny rynkowej nie uwalniały wychodźców od niepewności towarzyszących pierwszym świtom kolonii. Napoli dwoił się i troił by zapewnić początkującym podstawowe usługi. Wraz z północnoamerykańską firmą Angelo Fiorita & Co przewodniczył budowie dróg, rozgraniczaniu gruntów i stawianiu budynków użyteczności publicznej. Wśród mierniczych i ludzi niezastąpionych wspomagał go inspektor i geodeta Natal Coral. W pierwszym roku kolonizacji kompania osadnicza zapewniła dopływ 400 rodzin, kolejne kalendarzowe cykle sprowadziły do Nowej Wenecji pół tysiąca nowych rodzin. Strategia Napoli opierała się na podstawowym założeniu – przede wszystkim nie straszyć. Tak

samo jak Niemcy i Polacy, śmiałkowie z Włoch nie byli informowani, że wkraczają na ziemię zamieszkaną przez Indian i że w toku prac będą im ją zabierali, spychając ludność tubylczą do wąskiego gardła. Wolne rzekomo grunty nosiły niespodziewane obciążenie, spędzające sen z oczu nowoprzybyłym. W latach 1891-1895 kolonialna prasa donosiła o napadach Xoklengów i ich utarczkach z włoskimi osadnikami. Wizyty Indian nie różniły się wielce od wcześniejszych punktowych wydarzeń oglądanych w koloniach Blumenau i Brusque. Pierwsze ofiary śmiertelne sprzyjały przy tym przejmowaniu retoryki, która zdążyła dobrze zakorzenić się już wśród osadników niemieckich. Botokud znowu stawał się główną przeszkodą w postępie cywilizacji, niebezpiecznym stworzeniem lokowanym pomiędzy dzikusem a zwierzęciem. Im więcej cech faunistycznych, tym łatwiej przychodziło oddawanie strzału w jego kierunku.



Na szczycie wzgórza na którym później powstał Szpital Świętego Marka stała wówczas górująca nad okolicą siedziba spółki Companhia Metropolitana. W tej wygodnej lokalizacji mieszkał również jej dyrektor, Miguel Napoli. W budynku przypominającym pałacyk z marmurowymi schodami mógł uznać się za nowego Agatoklesa Sycylijskiego. Burżuazyjna władza nad okolicą do której pretendował miała jednakże swoich oponentów. Dostrzegał ich w dzikiej przyrodzie, dzikim zwierzu i dzikich tubylcach. Nie miał

wątpliwości. Indian należało okiełznać, a nie można było liczyć na przybycie brazylijskich jednostek wojskowych które trzymałyby rdzenną ludność na odległość. Jak każdy przedsiębiorca w białych rękawiczkach potrzebował ludzi którzy wykonaliby za niego brudną robotę. Wtedy dzieje Nowej Wenecji wypchnęły na pierwszy plan Natała Corala, geodetę który dzięki prowadzonym pracom doskonale znał geografię i specyfikę okolic. Ludzie mu przychylni mówili o nim nie inaczej jak o ojcu jedenaściorga dzieci, człowieku szanowanym i przyjacielu wszystkich. Jeżeli przyjmiemy na moment te zapewnienia zastanówmy się cóż mogło uczynić z niego wysoce wykwalifikowanego siepacza, jakim niebawem się stał..

Powstało na ten temat wiele teorii. Jedna z tez zakłada, że zaczął zabijać Indian po śmierci swojego przyjaciela. Czwooro braci Baldessar szło przez las śpiewając, kiedy jednego z nich, Giovanniego, przeszyła strzała. Raniony wyzionął ducha. Zdarzenie te przesądziło o transformacji Natała Corala w jednego z najbardziej znanych bugrejów. Popularniejszą stała się legenda o urażonej dumie geodety. Indianie mając poznać się wcześniej na nikczemności Natała uprowadzili jego żonę, Marię de Faveri, trzymając ją w niewoli przez kilka miesięcy bądź dwa lata. Porwana małżonka po poniewierce wróciła do domu cała i zdrowa, lecz była przy nadziei. Spodziewała się indiańskiego dziecka, którego nasienie umieszczono w kobiecie, jakoby celem ukarania geodety. Gdy mąż poznał prawdę wpadł we wściekłość i zaczął mścić się okrutnie. W co bardziej fantastycznych historiach nie było krzty prawdy, ale to one brzmiały najlepiej wieczorami w knajpach i zapadały w pamięć. Wiemy za to, że Natał Corał wcześniej chwycił za broń. Dom jego przystrojony był skórami i zębami zwierząt. Trudnił się zatem myślistwem, teraz tylko zaczął polować na ludzi.

Gdy prośba o pomoc w usunięciu ludności tubylczej nie wywołała spodziewanego rezonansu, koloniści we włoskich osadach zaczęli organizować się samodzielnie. Marzano wspomina o 260 mężczyznach powołanych pod broń, którzy przygotowywali się do

działań przy asyście wyszkolonych bugrejów i dzięki wsparciu brazylijskiego rządu. Nad okolicą unosiła się wojenna atmosfera. Pewnego dnia, wczesnym rankiem wszyscy zebrali się na placu w Urussandze, uzbrojeni po zęby, z torbami i pozostałym ekwipunkiem. Marzano, świadek tej sceny, twierdził, że pośród zgromadzonych panował taki entuzjazm, jak gdyby pojawił się wśród nich autentyczny Garibaldi. W gronie tym nie mogło zabraknąć Natała Corala oraz przynajmniej jednego z braci Baldessarów, Nicoli, który po śmierci członka rodziny pałał żądzą zemsty. Celem tego pospolitego ruszenia była ochrona domów osadników i zmuszenie rdzennej ludności do zaprzestania penetracji obejść Włochów i nastawania na ich życie. Koloniści zachęcani więc przez Companhia Metropolitana, jednego ze sponsorów tych wypadów, zaczęli organizować ekspedycję mające odstraszyć Xoklengów. Wypadki te przeradzały się w rzeczywistości w okrutne napady na indiańskie społeczności i idące za nimi masakry, prowadzone najczęściej przez Natała Corala, Verissimo i Maneco Angelo, trzech wielkich mistrzów uderzeń południowej Santy Cathariny. Chociaż odpowiadali za zbiorowe morderstwa, ludzie wspierali ich i uważali za dobrych obywateli.

Napady prowadzone w każdym kierunku od Nowej Wenecji były liczne; przyzwolenia na nie udzielał dyrektor kolonii Miguel Napoli. Owo chirurgiczne ludobójstwo które rozgrywało się pod marmurowymi schodami zza których spoglądał na świat, sprawiało, że jego życiowemu przedsięwzięciu dostarczano niecodziennego budulca. O ile Wenecję postawiono na wodzie, a Neapolowi o lawie nie pozwalało zapomnieć bliskie sąsiedztwo Wezuwiusza, to Nową Wenecję wznoszono na stosie trupów i rzece xokleńskiej krwi. Pewnego razu Miguel Napoli wypłacił Natalowi Coralowi 2 tys. reis. Przedpłata miała zdeterminować geodetę-najemnika do czym prędszego rozwiązania problemu Indian. Tego dnia Natal Coral poprowadził w las nawet dwie setki mężczyzn. Wieczorem lokalni Xoklengowie odprawiali zwyczajową ceremonię i po uczcie zakończonej spożywaniem alkoholu zaprawianego miodem zapadli w głęboki sen. Nad ranem gromada Natała

zlokalizowała obozowisko Indian i runęła na niezdolną do obrony społeczność. Jeżeli relacje nie są przesadzone, rozpoczęła się jedna z najokrutniejszych rzezi tego okresu kolonizacji. Bugrejrzy Natała siekali wszystkich: kobiety, mężczyzn i dzieci. W starciu z bronią palną i dużą liczbą napastników nie mieli najmniejszych szans. Opuszczając zalaną krwią wioskę ludzie Natała nieśli trofea z ciał około setki zamordowanych autochtonów, w tym sto par amputowanych uszów. Dwieście uszów, umieszczonych w worku, poniesiono do siedziby Companhia Metropolitany. Ulokowanemu wewnątrz dyrektorowi zaproponowano ich wykup, tak jak miały to w zwyczaju inne kompanie osadnicze. Widok był szokujący. Nie wiadomo, czy bardziej z resztek skrupułów, czy w obawie przed reakcją brazylijskiej administracji, Napoli odmówił przyjęcia świadectwa dokonanej zbrodni. Szczątki Indian zabrano i pogrzebano; robiono to jednakże niechętnie i z obrzydzeniem, ponieważ organy znajdowały się w stanie zaawansowanego rozkładu.

Sam tylko Natal Coral odpowiadał za śmierć setek indiańskich dzieci, kobiet i mężczyzn, otrzymując regularne wynagrodzenie od kompanii osadniczej. Nie był on niemniej samotnym wilkiem; działania wymierzone w Indian były akceptowane i oczekiwane przez całą lokalną społeczność – członkowie jej czuli się zagrożeni aktywnością Xoklengów wchodzących do ich domów i podnoszących nań swoje włócznie. Ostatnia wielka rzeź we włoskich domenach odbyła się około roku 1905 w Morro Redondo, w obszarze São Bento Alto. Bugrejrzy przyprowadzili z niej kilkoro indiańskich dzieci spośród których większość zmarła przed osiągnięciem wieku dorosłego.

DER URWALDSBOTE I BLUMENAU ZEITUNG. KOLONIALNA PRASA WOBEC XOKLENGÓW

Nie łatwym zadaniem było przekonanie osadników, że nie powinni strzelać do Indian. Autochtonów żyjących poza „jedyną cywilizacją” uważano za kogoś bliższego zwierzętom, toteż nakazy moralne chrześcijańskich zborów nie poruszały tych

sumień, które nie zdobywały się na wysiłek umieszczenia własnego stosunku do ludności tubylczej w sferze zobowiązujących norm miłości bliźniego. Pozbawienie życia Indianina gwarantowało bezpieczeństwo kolonii, a zatem pełniło formę egzekucji prawa. Zbiorowy lęk przed „dzikimi” Botokudami wzmacniała lokalna prasa, przemycająca zgodnie z duchem czasu elementy ewolucjonizmu społecznego. Dekadentyzm „kultur prymitywnych” ograniczał, jak głoszono, ich zdolność do ewolucji. Upadek i stopniowe ich wygaszanie w toku kolonizacji prezentowano jako naturalną konsekwencję wymierania słabszego.



Tymczasem Xoklengowie, dziesiątkowani od kilku dekad, wciąż nie pozwalali o sobie zapomnieć. Motywowani koniecznością zrewanżowania się za doznane krzywdy, ale i zwyczajnie pozbawiani źródeł swojego utrzymania, wchodzili w coraz częstsze kontakty z ludnością napływową, której liczba po 1890 roku uległa wielokrotnieniu. Jak odnotował pamiętnikarz i geodeta, José Deke, w kolonii Blumenau w latach 1852-1914 nastąpiło 61 napadów Xoklengów w trakcie których śmierć poniosło 40 osadników a 22 zostało rannych. Zbliżoną statystykę ofiar po stronie osadników odnotowano podczas trwającej 17 lat konfrontacji między Xoklengami a kolonistami w okolicach Luceny i linii Moema. Każda z tych strat, bardzo bolesna, rozłożona na długi przedział czasu w jakim następowała, nie przystawała do obrazu

Indian prowadzących wojnę z białymi i mordujących z zamiłowania. Zdarzało się natomiast, że jeden tylko rajd bugrejów na indiańskie osady pozbawiał życia większą liczbę ludzi aniżeli zginęło białych z rąk Indian na przestrzeni 50 lat w koloniach Blumenau i Brusque razem wziętych.

Kolonialna prasa, występująca najczęściej w roli kronikarza wysiłku osadniczego, skupiała się przede wszystkim na bulwersujących szczegółach konfrontacji w której ginęli przedstawiciele ludności napływowej. 4 lutego 1905 roku Pharol de Itajaí donosi o ataku Botokudów na sześciu mężczyzn pracujących przy wyrębie lasu w obszarze Ribeirao do Ouro. Indiańska strzała dosięga Batistę Rodonelliego – 25-latek pochodzenia włoskiego umiera niemal natychmiast. Rok później, 14 lutego 1906 roku Pharol de Itajaí publikuje relacje o napadzie Indian na żołnierzy na szlaku Blumenau-Curitibanos. W starciu ginie José Magro. Wśród rannych zostają wymienieni Dorval Correia, Francisco Lemos i Berto Pinto. Ostatniemu z nich znajdującemu się w rozpaczliwym stanie, z jelitami na wierzchu, życie ratuje intensywna pomoc lekarska. Rola prasy nie sprowadzała się rzecz jasna jedynie do archiwizowania informacji; łamy jej, tak jak wszędzie, przeobrażały się w salony polemiczne oraz trybuny propagandy. Zarysowujący się na początku XX wieku spór między zwolennikami katechizacji Indian a ich eksterminacji zmuszał do opowiadania się po przeciwstawnych stronach redakcje poszczególnych dzienników.

Wychodząca w Brazylii niemiecka prasa o charakterze nacjonalistycznym i ponadlokalnym, reprezentowana przez Germanię i Der Beobachter, przy okazji adresów dyplomacji austro-węgierskiej opinie swe formułowała jednoznacznie, aprobując likwidację xokleńskiego zagrożenia poprzez uruchamianie zastępów bugreiros. W sercu Santa Cathariny wyrazicielem zbliżonego stanowiska stał się wychodzący w Blumenau Der Urwaldsbote. Pierwszy redaktor gazety, Hermann Faulhaber przybył do kolonii w 1889 roku, zapisując się w historii miasta jako osoba niezwykle płodna na polu

kulturalnym. Der Urwaldsbote powołał do życia w 1893 roku; pismo służyło początkowo interesom gmin ewangelickich i szkołom przez nie koordynowanym. W 1898 roku nowym redaktorem gazety został Eugen Fouquet. Z jego nazwiskiem wiąże się ewolucja Der Urwaldsbote w kierunku antyindiańskim. Fouquet urodził się na pruskim Pomorzu. Pochodził ze starej rodziny hugenotów, studiował prawo na uniwersytetach w Tybindze i Berlinie. Do Brazylii przybył w 1893 roku. Funkcje redaktora prasowego piastował przez 30 lat. W swoich poglądach nawiązywał do idei narodowosocjalistycznych, za obowiązek szermierzy pióra na obczyźnie uważając „zakorzenianie wartości kulturowych i narodowych Germanów na skraju brazylijskiej dżungli”. Wypracowawszy sobie wizerunek człowieka bardzo kulturalnego, dziełu temu służył zarówno w starej formule, jak i wówczas gdy po 1900 roku gazeta została wykupiona przez konsorcjum Arthura G. Kohlera.

Eugen Fouquet bronił interesu osadników w sposób dla siebie charakterystyczny. Dochodząc do wniosku, że obecność Xoklengów jest nie do pogodzenia z życiem w pokoju, skłaniał się do ich zagłady. Pod jego redakcją Der Urwaldsbote odgrywał wiodącą rolę w Blumenau, nawołując do otwartej rozprawy z Indianami: „te dzikusy utrudniają komunikację między wyżynami i wybrzeżem. Konieczne jest pozbycie się tego problemu najszybciej jak to możliwe”. Gazeta krytykowała wszystkie sentymentalne głosy, które „polowania na dzikusy uważały za niesprawiedliwe i niemoralne”. Powinny one być ignorowane, a systematyczne zabijanie Indian kontynuowane. Według otoczenia Fouqueta napady na autochtonów były formą samoobrony – należało je prowadzić bez oglądania się na „głupią histerię apostołów ludzkości”. Der Urwaldsbote wzywał swych czytelników do zemsty krwi za śmierć bezbronnych kobiet i dzieci, rozpisując się o zadowalającej proporcji która nakazywałaby za każdą śmierć osadnika pozbawiać życia „dziesięć czerwonych psów”.

Wyrazicielem umiarkowanej opinii w tym samym czasie stał się

Blumenau Zeitung od 1899 roku znajdujący się pod wyłącznym kierownictwem Hermanna Baumgartena. Dzięki Baumgartenowi twarda linia reprezentowana przez Der Urwaldsbote zyskiwała w mieście mocną trybunę opozycyjną. Blumenau Zeitung publikował artykuły Hugo Genscha, przybranego ojca Marii Korikrån, który otwarcie potępiał nieludzkie metody stosowane przez bugreiros oraz hipokryzję ich zwolenników. Zamiast prowadzonego ludobójstwa zalecał spokojne włączanie Indian na „łono cywilizacji” przy wykorzystaniu talentów xokleńskich dzieci odchowywanych już w społeczeństwie kolonialnym. Nie mogąc wyzbyć się europocentrycznych poglądów, co do przyszłości społeczności indiańskich,, z całą jednak konsekwencją potępiał Gensch niemoralne i skandaliczne ekscesy towarzyszące ubezwłasnowolnianiu rdzennej ludności, jak na przykład wystawianie na widok publiczny uwięzionych indiańskich kobiet, które po uiszczeniu opłaty gapie mogli oglądać, pozwalając sobie na „dokuczliwe i nieprzyzwoite komentarze”.

OD WIEDNIA DO SAÕ PAULO. DEBATA O PRZYSZŁOŚCI XOKLENGÓW NA DWÓCH KONTYMENTACH. EKSTERMINACJA CZY OCALENIE?

Eugen Fouquet w osobistym przekonaniu agitował za postępem, rozwojem Santa Cathariny, a zwłaszcza w obronie dobrostanu potomków Niemców, brazylijskich Germanów, którzy budowali nową wspólnotę w Ameryce Południowej. Ostro krytykował „mdłe nastawienie” tej części mieszkańców Blumenau, która odcinając się od radykalnych środków propagowanych na łamach der Urwaldsbote, nie zgadzała się z jego ideami. Posiadłszy pewien zakres oddziaływania na społeczność emigrantów w południowej Brazylii, Fouquet wpisywał się w zjawisko dostrzegane pełniej i kompleksowo dopiero w ostatnim czasie. Ideologia rasy panów mająca jakoby zatriumfować dopiero z momentem objęcia przez Adolfa Hitlera steru władzy w Niemczech, pod różnymi kreacjami ewolucjonizmu społecznego i projektów eugenicznych, kształtowała światopogląd nie tylko Niemców, ale szerzej – uczonych protagonistów europejskiego kręgu kulturowego – na całe dziesięciolecie przed wyłonieniem się III Rzeszy..

Osuwające się w egzystencjalną przepaść „kultury prymitywne”, zgodnie z oddziałującym na rzeczywistość duchem czasu – głoszono – miały po prostu ustępować miejsca wyższym i lepiej przystosowanym. Nie chodziło już tylko o handel, eksploatację i podporządkowanie metropolii. Jak odnotowywali pierwsi kronikarze tego zjawiska, rozpoczynała się trwająca od zawsze walka o przestrzeń życiową. Teraz miała być to jednak walka nowej generacji, donioślejsza w skutkach, bo w pełni świadoma i sprzężona z artykulacją narodowego interesu.



Przekonanie te spiął w cały system teoretyczno-naukowy Friedrich Ratzel w wydanej w 1897 r. „Geografii Politycznej”. Wiarygodności studium przydawały terenowe obserwacje autora prowadzone w Stanach Zjednoczonych. Pęd do migracji Ratzel uznawał za naturalną cechę ras zdrowych i energicznych. Ludy zasiedlające nowe terytoria nie tylko nie zatracaly swoich cech szczególnych, ale „adoptując się do nowych okoliczności wręcz zwiększały swoją populację i rozwijały rodzimą kulturę”. Poszerzanie przestrzeni życiowej, Lebensraum, będące mechanizmem samoregenerującym, chroniło przodujące rasy przed zastojem i stanowiło zabezpieczenie przed pretensjami ludów agresywnych gotowych wejść w ich buty.

Politycznym programem dla Niemiec była więc zdaniem Ratzla walka o przestrzeń życiową, która sprowadzała się do poszerzenia dotychczasowych wpływów kupieckich i przemysłowych o kolonizację właściwą, polegającą na zasiedlaniu odległych terytoriów przez osadników i farmerów znad Łaby i Renu. W przeciwieństwie do metafizycznych koncepcji Hegla, tłumaczącego znikanie ludów tubylczych „zbliżeniem się ducha”, Ratzel z rozbijającą szczerością pisał o wojnach, niewoli i prześladowaniach spadających na karki ludów, które nie dotrzymywały siły oręża narodom poszerzającym swą przestrzeń życiową. „Dziewiętnastowieczne walki w Ameryce Północnej, Tasmanii, Nowej Zelandii i południowej Brazylii właśnie” wyniszczające rdzenną ludność, stanowiły faktyczne odzwierciedlenie tego procesu i Ratzel nie miał wątpliwości, że kolonializm niemiecki, popierany przezeń otwarcie, czekała konfrontacja odpowiadająca temu wzorcowi.

Darwinizm społeczny w formie propagowanej przez Ratzla wykraczał poza teoretyczne rozważania i stawał się ideologią ludzi namaszczanych do kreowania rzeczywistości politycznej. Niemiecki komisarz ds. osadnictwa, Paul Rohrbach wysłany do Afryki Południowo-Zachodniej w dobie ludobójstwa na ludach Herero i Nama [3], celem sprawdzenia warunków pod osadnictwo, z ujmą wyrażał się o tych którzy niesieni filantropijnym wzruszeniem apelowali o zachowawczość. Pytając z niedowierzaniem: „Czy naród niemiecki ma porzucić szansę wzmocnienia się, zabezpieczenia przestrzeni dla swoich synów i córek ponieważ jakieś murzyńskie plemię prowadzi bezużyteczną egzystencję na ziemi, na której mogłoby się osiedlić i wieść kwitnącą egzystencję tysiące niemieckich rodzin, wzmacniając siły żywotne naszego narodu?” – sam sobie odpowiadał – „Ludzie, którzy nic nie wytwarzają, nie powinni mieć prawa do przetrwania”. Zbliżone przekonania zdecydowanie wykraczały poza łatwo zasysające cykute darwinizmu społecznego, niemieckie koncepcje postępowania z tubylcami.

Theodore Roosevelt, prezydent Stanów Zjednoczonych

(1889-1996), zanim objął urząd pozwolił sobie na wyrażenie następującej opinii: „Najszlachetniejszą ze wszystkich wojen jest wojna z dzikimi, choć zarazem jest też wojną najstraszniejszą i nieludzką. Cała cywilizowana ludzkość ma dług wdzięczności wobec nieokrzesanego, nieustraszonego osobnika, który wypiera z ziemi dzikich. Amerykanin i Indianin, Bur i Zulus, Kozak i Tatar, Nowozelandczyk i Maorys, w każdym z tych przypadków zwycięzca – którego czyny mogą być straszliwe – kładzie głębokie fundamenty dla przyszłych pokoleń ludzi silnych”. Światopogląd zagnieżdżony w umyśle dwudziestego szóstego prezydenta USA nie był obcy jego latynoamerykańskim odpowiednikom. Domingo Faustino Sarmiento, pisarz i prezydent Argentyny z lat 1868/74 przyznawał, że eliminacja i podbijanie ludów posiadających cenną ziemię mogą wydawać się niesprawiedliwe, ale dzięki takiej „niesprawiedliwości, Ameryka jest obecnie zamieszкана przez rasę kaukaską, najdoskonalszą, najbardziej inteligentną, najpiękniejszą i najbardziej zaawansowaną”. Zdaniem jego to zdecydowanie lepsze aniżeli pozostawienie tej ziemi w rękach „niekompetentnych dzikusów”..

Filtrowani przez odpryski zbliżonych prądów ideologicznych niektórzy osadnicy w południowej Brazylii, a także brazylijscy politycy, bywali przeświadczeni, że permanentna wojna na wyniszczenie prowadzona w Stanach Zjednoczonych i na argentyńskich pampasach wobec ludności tubylczej powinna być kontynuowana i zaadoptowana do warunków brazylijskich. Wątpliwości co do słuszności tej drogi nie miał Eugen Fouquet. Przekonanie te zdawał się legitymizować również historyk Carlos Oberacker, który chwalił niemieckich osadników za to, iż ziemię na których dwie dekady wcześniej „jeszcze żyli Indianie” przekształcili w obszary ziemi uprawnej. Najgwałtowniejsza linia postępowania z rdzennymi mieszkańcami południa Brazylii, uosabiana przez rajdy bugreiros dziesiątkujących Xoklengów w ich obozach, posiadała jednak od dłuższego czasu opozycję, która z biegiem czasu coraz mocniej dochodziła do głosu. Zazwyczaj opozycja ta składała się z

ludzi żyjących w bliźniaczo podobnym przeświadczeniu o szczególnej roli „europejskiej misji cywilizacyjnej”. W przeciwieństwie do apologetów prochu i szpicruty uważała ona zasadniczo, że proces ten powinien dokonywać się metodami humanitarnymi, a rdzenna ludność, żyjąca w „biedzie i nie wiedzy”, musi zyskiwać stopniowe prawo dołączania do cywilizowanej wspólnoty kraju w granice którego anektowano jej terytoria. Adwersarze ludzi takich jak Fouquet nie przejawiali więc szacunku do kultury, integralności i samostanowienia ujarzmianej ludności. W porównaniu z maczetą Martinho bugreira, to co głosili, stanowiło niemniej istotną zmianę jakościową i aksjologiczną, na tyle głęboką na ile wartym podjęcia pozostaje wybór między zagładą a przetrwaniem.

Jednym z odłamów tego środowiska były grupy katechetyczne, powiązane z kościołem katolickim, które zbliżenie między światem białych i Indian upatrywały w przyciąganiu autochtonów na łono wspólnoty chrześcijan. Krzyż i kropidło wykorzystywane od czasów Jose de Anchiety do pacyfikowania brazylijskich Indian nie zawsze okazywało się ich przyjacielem. Jak wielce nie pomyśli zwolenników eksterminacji Xoklengów było teraz pojawienie się misjonarzy świadczy jednakże oburzenie Fouqueta, potomka hugenotów krytykującego katolickich księży i franciszkanów za nieskuteczność i mieszanie się w konflikt, który dogasłby sam za sprawą bugrejów. Zdecydowanie bardziej problematyczną dla zwolenników eksterminacji okazała się „Liga Patriotica para a Catechese dos Selvicoas”, której placówka powstała we Florianopolis w 1906 roku. Korzystająca z tych samych prasowych środków wyrazu i metod dotarcia do opinii publicznej organizacja zapoczątkowała właściwą debatę w Santa Catharinie na temat przyszłości pierwszych mieszkańców Brazylii. Powstanie ligi było rezultatem wysiłków majora i inżyniera Pedro Marii Trompowsky’iego Tauloisa, pozytywisty i masona, który dla idei zakończenia przemocy wobec rdzennych mieszkańców pozyskał poparcie niewielkiej grupy polityków, intelektualistów i humanistów. Na honorowego prezesa ligi wybrano Gustavo Richarda, dwukrotnego prezydenta Santa

Cathariny.



W wydaniu gazety Novidades z 10 marca 1907 roku rzecznicy ligi patriotycznej tłumaczyli, że pragną stworzyć łańcuch sympatii dla „ubogich mieszkańców brazylijskich lasów”. Zamiast nękania ich i zmuszania do pędzenia żywota w nędzy głębokiego lasu, proponowali zapewnienie tubylcom środków ewangelizacji i cywilizacji. Odrzuciwszy dokonujące się ludobójstwo apelowali o pokojową transformację społeczności indiańskich, zgodną z narodową linią brazylijskiego państwa. Dążąc do asymilacji rozpoczęli kampanię prasową przeciwko hasłom podnoszonym na łamach Der Urwaldsbote. Niemieccy emigranci skupieni wokół twardej linii postępowania z Indianami, w aktywizacji ligi dostrzegali więcej zgłosek antyimigracyjnych niż dobroczynnych. Chociaż po 1900 roku nastąpiło, budzące niepokój diaspory niemieckiej w Brazylii, wyhamowanie migracji z metropolii, to ponad 200-tysięczna mniejszość niemiecka na południu kraju wywoływała obawy różnej maści natywidów brazylijskich przestrzegających przed budową „państwa w państwie”. Działania odwołujące się do haseł patriotycznych ligi, konserwatywni osadnicy niemieccy postrzegali bardziej jako zawołany atak na siebie, będący

częścią kampanii natywistów, aniżeli autentyczne wsparcie dla Indian. Wyrażali przy tym oburzenie na obrońców „dzikich hord”, ratujących je „kosztem życia osadników”. Konflikt między odmiennymi stronnictwami wydawał się mało groźnym i publicystycznym, tak długo jak udawało się utrzymywać go w lokalnych ryzach. W tym samym czasie po Blumenau spacerował już jednak człowiek, który wokół losu brazylijskich Indian wywołała wrzawę, słyszaną aż w Europie.

Albert Vojtech Frič przyszedł na świat w roku 1883 w rodzinnej Pradze. Pochodził z rodziny która zapisała się w historii miasta, wydając na świat rewolucjonistów, polityków i naukowców. Jeden z jego wujów, Josef V. Frič brał udział w rewolucji praskiej roku 1848; drugi, Antonin Frič pełnił funkcję kustosa zbiorów historii naturalnej w Praskim Muzeum Narodowym. Na rok przed swoim pierwszym wyjazdem do Brazylii Albert Vojtech Frič uczęszczał jeszcze do wyższej szkoły technicznej w Pradze. Daleka podróż za ocean w wieku osiemnastu lat położyła szalunki pod całą drogę życiową młodego Czecha. Rozpoznający swoje zainteresowania Albert skupiał się w tamtym czasie na botanice. Pierwszą wizytę w Brazylii zadedykował badaniom kaktusów. Po powrocie do Pragi w 1902 roku zebrana przez niego kolekcja znalazła się na muzealnej wystawie. Przywiózł z niej również mały zbiór materialnej kultury Indian brazylijskich. Ciężką sytuację autochtonów uzmysłowiła mu bardziej jego druga podróż do Ameryki Południowej. Zdał sobie wówczas sprawę z niepokojącego tempa wymierania Indian; doświadczenie te sprawiło, że wykonał wówczas skręt ku świadomej etnologii.



Zebrawszy pewną liczbę eksponatów związanych z tubylczą kulturą Ameryki Albert V. Frič udał się do Karla von den Steinena i Eduarda Selera, dyrektorów odpowiedzialnych za amerykańską część zbiorów berlińskiego muzeum, z zamiarem sprzedaży całej lub części zgromadzonej kolekcji. Muzealnicy byli pod wrażeniem zaprezentowanych im eksponatów. Seler to co mu pokazano określił mianem niezmiernie skrupulatnego i niezwykle dobrze zachowanego katalogu. Frič chociaż nie uchodził za profesjonalnego etnologa zdołał zebrać i przetransportować nakrycia głowy i inne wrażliwe przedmioty w doskonałym stanie i opatrzyć je „dobrymi uwagami” natury kulturoznawczej. Wrażenie jakie wywołał klasyfikowały Czecha do oddelegowania go w następną podróż. Kiedy Frič zapytał o możliwość pracy w berlińskim muzeum jako wolontariusz, zarówno Seler jak i von den Steinen zareagowali pozytywnie, wyrazili również zainteresowanie wsparciem jesienią 1906 roku jego kolejnej podróży do Ameryki Południowej. Protekcja berlińskich muzealników otworzyła przed nim drzwi do wszystkich ważniejszych niemieckich specjalistów w tej dziedzinie. Szczególnie istotnym okazało się wsparcie jakie udzielił mu Georg Thilenius, dyrektor Muzeum Etnograficznego w Hamburgu. Z talentem Prażanina wiązano duże

nadzieje. Z końcem XIX wieku w europejskich muzeach zalegało wiele źle skatalogowanych i niepełnych zbiorów, a budżety kierunkowych działów zmagaly się z brakiem funduszy. Nowa generacja kolekcjonerów takich jak Frič stanowiła objawienie i zapowiedź dalszej profesjonalizacji nauki. Stąd stawała się podmiotem niegasnących zabiegów.

Kiedy we wrześniu 1906 roku Albert V. Frič, zameldował się w południowej Brazylii Niemcy nadal odgrywały ważną, choć kontrowersyjną rolę w światowej etnografii. Niemieccy badacze zgromadzili więcej informacji niż ktokolwiek na temat rdzennej ludności Brazylii, wyprzedzając w tym względzie samych Brazylijczyków. Na przełomie XIX i XX wieku długa lista niemieckich przyrodników i etnologów podróżowała przez brazylijskie lasy wchodząc w kontakty z licznymi plemionami indiańskimi, takimi choćby jak Waurá, Trumai i Suya. Badali tubylcze języki, wnosili uwagi, co do ich gramatyki i tworzyli słowniki. Postulowali poszerzenie klasyfikacji językowej wśród brazylijskich Indian, dokonywali nagrań i wzbogacali kolekcje muzeów. Pojawiając się w stanie Parana, Frič posiadał wszelkie predyspozycje aby do epopei tej dopisać własny rozdział. Początki rzeczywiście to zapowiadały. Korespondencja jaką utrzymywał z Thileniusem zdradzały jego energiczność i zaangażowanie. Podczas pobytu wśród ludu Kaingang zebrał instrumenty muzyczne, broń i narzędzia, dokonał również wzmianek o mitologii tubylczych nacji na ziemiach których bywał. Komplikacje na jakie natrafił podczas swych wysiłków przekierowały niebawem jego uwagę ku niesprawiedliwościom absorbującym go już wcześniej.

Piesza podróż z pełnym ekwipunkiem po interiorze oraz bezdrożach prowincji na początku XX wieku nie należała do zadań łatwych i przyjemnych. W trakcie swych wojaży do Kaingangów Frič skarżył się, że zmuszony był przemierzać długie dystanse „wąskich ścieżek”, w asyście „strasznie” przeciążonych mułów. Cierpiał na opuchliznę stóp i gorączkę. Humoru nie poprawiały mu przydarzające się na trasie wypadki;

zdarzało się, że jego wyposażenie lądowało w wodzie. W końcu zachorował na malarię – nękały go powracające ataki gorączki. Niedyspozycję na jaką zapadł wykorzystano później do podważania jego wiarygodności. Ciąg inicjatyw i „dziwactw” angażujących go przez następne miesiące tłumaczono następstwem chorób i wpływających na poczytalność terapii za pośrednictwem których próbował je zwalczać. Heinz, niemiecki konsul w Paranie utrzymywał, że na Friča niekorzystnie wpłynął upał i długa izolacja od cywilizacji. Zdaniem tegoż, kondycja fizyczna i psychiczna rekonwalescenta podupadły za przyczyną dużej ilości arsenu i chininy aplikowanych sobie przez czeskiego etnologa. Rzeczywiście. Kiedy Frič wrócił do Kurytyby z długiej wyprawy po lasach, leżał w łóżku zmożony przez gorączkę. Przez kilka miesięcy był zbyt słaby by składać stosowne raporty. Popędzany przez swoje zobowiązania finansowe i konieczność dostarczenia eksponatów do muzeum, zapakował je i wysłał do Niemiec. Kiedy Thilenius odebrał kolekcję, ku swojemu zaskoczeniu i przerażeniu stwierdził, że dotarła w straszliwej kondycji. Niektóre rzeczy były połamane.

Podnoszącemu się z łóżka Fričowi brakowało pieniędzy. Nieprzygotowany na taką okoliczność daremnie domagał się użyczenia dodatkowych środków ze strony mającego związane ręce Thileniusa. W listach z przekąsem pytał swojego hamburskiego protektora czy ma szukać zatrudnienia, jak pozostali pracownicy w koloniach, bądź podając się za reprezentanta muzeum prosić o wsparcie niemieckich konsułów. Wtedy zwrócił na siebie uwagę Pedro Marii Trompowsky’ego Tauloisa, który dostrzegł w nim szczerego rzecznika rdzennej ludności. Wkrótce dyrektorzy niemieckich muzeów zostali poinformowani listownie przez swego protegowanego, iż znalazł on nowe źródło finansowego wsparcia, a także platformę, która umożliwi mu wyrażenie moralnego oburzenia. Seler i Thilenius oglądający metamorfozę Friča z kolekcjonera muzealnych eksponatów w adwokata Indian z pewnością drapali się po głowie. Mając wątpliwości czy zdoła połączyć on obie funkcje, obawiali się o wypełnienie zobowiązań, powziętych przezeń względem muzeów.

Póki co, nie zdradzali się z zamiarem interwencji, licząc po cichu na opamiętanie się człowieka, któremu zawierzyli. Seler nawet napisał doń gratulując mu zdobycia „wpływowej pozycji” i wyrażając zadowolenie, że będzie mógł wziąć w obronę „biednych Indian”. Wbrew temu co oczekiwano po nim w Niemczech Frič angażował się jednakże coraz bardziej, czego potwierdzeniem było dołączenie do kampanii Patriotycznej Ligi na rzecz Katechizacji Indian.



Pierwszym jego krokiem było napisanie serii artykułów potępiających stosunek południowoamerykańskich kolonistów do Indian. Podróżując po Brazylii stał się bezpośrednim świadkiem gwałtów zadawanych autochtonom. Nie szczędził pióra aby dać temu wyraz. Oskarżył kolonistów o „politykę eksterminacyjną” oraz „ustawy z wieków średnich”, których częścią były nocne naloty na rdzenną ludność w celu jej eliminacji i pozyskania niewolników. Manifest swój, zawierający wyartykułowane wcześniej skargi, zamieścił w niemieckim czasopiśmie naukowym Globus⁷³. Czytelnicy poważnego pisma mogli dowiedzieć się o najazdach najemników i prywatnych żołnierzy dziesiątkujących Xoklengów. Frič spotkał osobiście niektórych spośród myśliwych polujących

na Indian. Byli to ludzie, którzy „ozdabiali winchestery indiańskimi zębami” i handlowali ludzkimi uszami. W rozmowach z Czechem potwierdzali, że Indianie potrafili mówić i rzeczywiście przypominali ludzi, będąc czymś więcej niż leśnymi zwierzętami, lecz niewiele poza tym. Frič posuwał swoje oskarżenia dalej. „Ci myśliwi wspierani byli przez kolonistów, którzy twierdzili, że po prostu usuwają niebezpieczeństwo indiańskich najazdów”. Potępiwszy tę formę „pacyfikacji” argumentował, że „spokojna pacyfikacja” była możliwa za pośrednictwem innych środków. W rzeczywistości, jak podkreślał, osadnicy byli atakowani przez Indian w odwecie za rzezie prowadzone na nich od momentu założenia kolonii. Frič pouczał niemiecką diasporę w Brazylii, że żyje na ziemiach Indian tylko dlatego, że była w stanie kupić je za śmieszna cenę, co prowadzi do wniosku, że wściekłość i zemsta ze strony autochtonów były uzasadnione. Co znamienne, po usunięciu indiańskiego zagrożenia z okolicy, wczorajsi uciskani, sprzedawali posiadane grunty z 15-krotnym zyskiem. Czeski moralista zamknął swe wywody wymownym ostrzeżeniem, że opisane przez niego akty okrucieństwa będą owocowały niezbywalnymi konsekwencjami; na zawsze pozostając hańbą dla kolonistów, wywodzących się z jednego z najbardziej zaawansowanych narodów Europy, których ojcowie reprezentowali wysoką kulturę, głosząc naukę starej ojczyzny i miłość kwiatu ludzkości.

Niebawem po tej publikacji na zaproszenie Ligi Frič przybył do Florianopolis, podróżując następnie po Itajai, Blumenau i Curitibanos. Podczas tego tournée czeski etnolog promował nową linię postępowania z Xoklengami. Przede wszystkim proponował zbliżenie między społecznością kolonialną a prześladowanymi Indianami za pośrednictwem Kaingangów. Po zdobyciu wzajemnego zaufania zalecał wydzielenie rezerwatu dla Xoklengów o powierzchni gwarantującej im komfortowe warunki życia. Kolejne punkty planu Friča przedstawiały się następująco: 1) wprowadzenie kar dla bugrejów uprawiających kidnaping i mordujących Indian; 2) powrót indiańskich dzieci uprowadzanych podczas dekad najazdów na łono tubylczych rodzin; 3)

propagowanie wśród oswojonych Indian wiary i ludzkiego postępu. Gazeta Der Urwaldsbote w odpowiedzi na kampanię Friča opublikowała kilka artykułów krytykujących głoszone przez niego hasła. Zamieszczane skargi pełne były ubolewania nad tym jak wielką niepewność w życiu osadników zasiała szkodliwa nadgorliwość nowego trybuna Ligi. Jakkolwiek wysiłek Friča nie dokonał wtedy jeszcze widocznego wyłomu, rankon jaki wywołał był w istocie wielki.

Do akcji przystąpiła szeroka koalicja środowisk, podburzana przez interesy kompanii handlowo-osadniczych, która nie szczędziła wysiłków by zniesławić i potępić fanfaronady czeskiego zapaleńca. Alarmowano, iż naruszono normatywne kody etnologii i wzywano niemieckich przedstawicieli instytucji sprawujących pieczę nad tą dziedziną wiedzy do zdyscyplinowania niepokornego dezentera. Należało posadzić go w ławie i skłonić do posłuchu! Osoby prywatne, niemieckie organizacje nacjonalistyczne i kolonialne, różni oficjele rządowi z Brazylii oraz Niemiec słali skargi i apele do niemieckiego MSZ, dyrektora Muzeum Królewskiego, do Thileniusa a także jego odpowiedników w Berlinie. Pospolite oburzenie napędzały skonkretyzowane lęki: sposób w jaki Frič formułował swe oskarżenia zagrażały międzynarodowej sławie Niemiec i karmiły anty-niemiecką retorykę brazylijskich natywistów.

W komponowanych listach wyśmiewano oskarżenia i poddawano w wątpliwość zdolności intelektualne Friča. Gustav Salinger, niemiecki konsul w Blumenau, na przykład, nazywał rewelacje młodego etnologa bajkami, argumentując, że wszelkie akty przemocy dokonywane przez część kolonistów miały charakter całkowicie defensywny. W listach występowano w obronie osławionego „łowcy Indian” Martinho bugreira, który miał być oczerniany przez Friča w południowoamerykańskich gazetach. Proceder łapania dzieci podczas rajdów na indiańskie obozy ukazywano w sposób waloryzujący. Przekształcano je nie w „zabawki”, jak to sugerował Frič, a w „użytecznych członków społeczeństwa”. Obrońcy kolonialnego postępu w Ameryce

Południowej zarzekali się, że problemem były „powtarzające się ataki drapieżnych dzikich”, które już pochłoneły wiele ofiar. Seria ekspedycji karnych stanowiła jedynie formę skutecznego „przywracania spokoju”. Ci sami obrońcy podkreślali, że ingerencję Ligi Patriotycznej w sprawy kolonii dyktowała nie tyle proindiańskość co antyniemieckość, leżąca u zarania jej powstania. Na czele organizacji stał ich zdaniem mający polskie korzenie Trompowski-Taulois, który prowadził antypruską politykę Polski wymierzoną w niemieckich kolonistów. Teraz natomiast zyskał poparcie tego Czecha, który podnosi alarm przeciwko kolonistom, wywołując gniew reprezentantów niemieckich kół naukowych. Człowiek ten – alarmowali – „dmucha w ten sam róg” co brazylijscy natywiści. Autorzy adresów żądali założenia Fričowi kagańca lub zmuszenia go do szybkiego opuszczenia kolonii.

Glenn Penny odtwarzając krok po krok, przebieg konfliktu, zauważył, że jednym z najbardziej przewrotnych sposobów w jaki koloniści próbowali podważyć oskarżenia Friča było powołanie się na szczegóły korespondencji Hugo Genscha. Przybrany ojciec Marii Korikrān domagający się humanitaryzacji podejścia do Indian z innej pozycji, urażony został niektórymi enuncjacjami Friča. Broniąc swojego dobrego imienia Gensch zaczął kwestionować moralność i stabilność psychiczną protegowanego niemieckich muzeów. Wygłaszał o nim niepochlebne opinie przypisując mu niekompetencję, niekonsekwencję i fałszywość. To co najbardziej uraziło Genscha to insynuacje Friča przypisujące ludziom takim jak on posiadanie uprowadzonego indiańskiego dziecka w charakterze „zabawki”. Gensch odpierał te zarzuty podkreślając, że od dawna sprzeciwia się nadużyciom wobec brazylijskich Indian. Doktora z Blumenau raził styl bycia Friča. Miał go za osobę nieco szaloną, która nosiła przy sobie załadowany rewolwer i obnosiła się małym aparatem fotograficznym, eksponowanym na zewnątrz z wielką ostentacją. Gdy tylko przybył do Blumenau Frič wykazywać się miał „arogancką zarozumiałością” i mającymi przydawać mu powagi listami polecającymi. Mianem fantastycznych nazwał Gensch

pomysły Czecha związane z wydzieleniem rezerwatu dla Indian. Publicysta Blumenau Zeitung krytykował samozwańczego adwokata rdzennej ludności za skłonność do perwersji oraz zaczepianie obywateli, jak to opisywał, w najbardziej niewłaściwych okolicznościach. Gensch zrelacjonował przebieg wyrzucenia Friča z biura Der Urwaldsbote, gdzie napraszał się swoim oponentom. Twierdził też, że Friča widziano na konferencji anarchistycznej.

Atakowany ze wszystkich stron trybun Ligi bronił się oczywiście jak mógł, nie wydaje się jednak, że oskarżenia o niepoprawność polityczną i niemoralność miały bezpośredni wpływ na jego dalszą karierę naukową. W korespondencji między dyrektorami niemieckich muzeów nie było widać posłuchu dla oskarżeń i wycieczek osobistych kierowanych pod adresem Friča; w tym sensie ludzie, którzy mu zawierzyli widzieli w nim człowieka normalnego. Rażące pozostawało natomiast dla nich łączenie zajęcia profesjonalnego kolekcjonera muzealnych eksponatów z aktywnością parapolityczną. Kiepski stan kolekcji wysłanej do Thileniusa podważyły natomiast wypracowany wizerunek rzetelnego i skrupulatnego konserwatora. Co przeważało ostatecznie, trudno jednoznacznie odpowiedzieć. Lawina oburzenia, jaka zalała instytucje naukowe, podważająca reputację i autorytet etnologów, przyczyniła się niemniej do niemal natychmiastowego przerwania współpracy z nim. Za swe zaangażowanie w sprawę humanitaryzacji podejścia do Indian Albert V. Frič utracił akredytację Królewskiego Muzeum Etnograficznego w Berlinie, za współpracę podziękowało mu również Muzeum Etnograficzne w Hamburgu. Moralne zobowiązanie do zatrzymania tego, co uważał za odrażające zbrodnie oraz jego okrzyk skierowany pod adresem niemieckich kolonistów: „Jestem przede wszystkim człowiekiem” okazały się niewystarczające by ustrzec go przed konsekwencjami jego działalności.

Glenn Penny twierdzi, że gdyby niemieccy naukowcy rzeczywiście cenili wysoką jakość usług Friča mogliby się oprzeć

politycznym zamówieniom oraz roszczeniom konsulów. Z jednej strony dziedzina nauki przez nich uprawiana wymagała jednak dobrej sieci kontaktów ze społecznością kolonialną, z drugiej zaś nie chcieli tolerować mieszania kosmopolitycznej nauki z tym co wpisywało się w ramy polityczności. Jakkolwiek zależałoby nam na obronie nimbu niezależności instytucji naukowych, na decyzje tychże nie pozostawały bez wpływu wściekłość niemieckich kolonistów i nerwowe tiki zarysowujące się na twarzach berlińskich dyplomatów. Ministerstwo Spraw Zagranicznych obawiało się dalszego upadku reputacji Niemiec za granicą, już cierpiącej z powodu brutalnej i imperialnej polityki rodzimych wihelmistów i volkistów. Ludobójstwo dokonywane w tym samym czasie na ludach Herero i Nama w Namibii oraz poprzedzająca krwawe represje w Chinach „mowa Hunów” niemieckiego cesarza Wilhelma II [4], tu i ówdzie demołowały opinię o ojcowiźnie Goethego i Herdera. Chociaż w porównaniu z państwowym zaangażowaniem w Afryce Południowo-Zachodniej, uwaga jaką cesarz poświęcał temu co działo się w Brazylii Południowej, przydawała jej tytułu odległego dziecka niemieckiego kolonializmu, to nadużycia wychodźczej diaspory w Brazylii zaczęły być porównywane z równoległą eksterminacją w Namibii. Przytyki na ten temat pojawiły się w 1907 roku w argentyńskiej prasie, mimo że niedługo przedtem na południe od Buenos Aires mordowano i kaleczono metodami równie ohydnyimi patagońskich Indian. W opinii dyplomacji niemieckiej należało przeciwdziałać niesprzyjającym sprężynom opinii publicznej; do muzealników napłynęły więc żądania aby umowę z Fričem rozwiązać. W sprawę zaangażował się ambasador Niemiec w Rio de Janeiro. Czeski botanik, podróżnik i etnolog w jednej osobie, pozostał zatem bez grosza. Afera w Santa Catharinie nie stanowiła jednak ostatniego akcentu w jego kampanii na rzecz ochrony Indian. Powrócił do Europy, gdzie niebawem usłyszano o nim ponownie.

W 1908 roku Albert Vojtech Frič pojawił się na odbywającym się w Wiedniu XVI Międzynarodowym Kongresie Amerykanistów, panelu który zgromadził najważniejszych kierunkowych specjalistów i

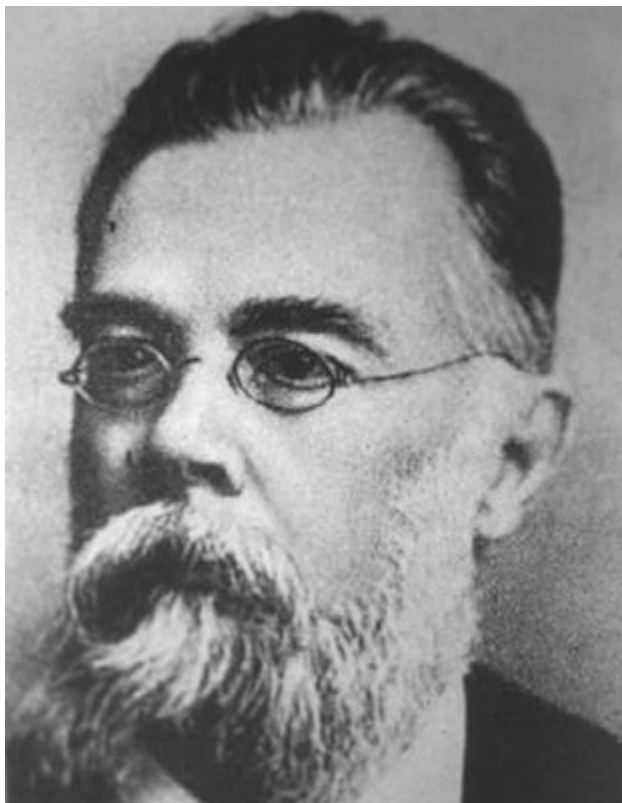
zagranicznych obserwatorów. Podczas swojej prezentacji na temat rdzennej ludności Ameryki Południowej potępił brutalne traktowanie Kaingangów i Xoklengów. Ponownie podniósł swój sprzeciw wobec masowych zabójstw. Ujawnił istnienie „łowców ludzi”, którzy uskuteczniają swój proceder nie tylko w „niepodległym państwie Konga”. Te nadużycia i o wiele gorsze – demaskował – wspierane są przez niemieckich kolonistów, żyjących w „cywilizowanych stanach Brazylii”. Za współwinnego zbrodni uznał brazylijski rząd, który przymyka oko na te okrucieństwa. Zaznaczył obok tego, że tylko interwencja państwa może obronić ludność tubylczą i umożliwić powrót na łono rdzennych społeczności dzieci i kobiet uprowadzonych podczas rajdów. Konstatacja zaprezentowana przez Friča wzbudziła konsternację zebranych. Kim był ten 27-latek który śmiał ich pouczać? Z ust jego usłyszeli, że kolonizację regionu prowadzono kosztem Indian zabijanych setkami, bez żadnego współczucia ze strony bugreiros, służących interesom firm kolonizacyjnych, handlowców, posiadaczy ziemskich i rządu. Oprotestowany wcześniej obrońca Indian zwrócił się do całego Kongresu aby kładąc kres przemocy jednoznacznie wystąpił przeciwko „tym aktom barbarzyństwa, które stanowią plamę na historii nowoczesnego podboju Ameryki”.



Przeciwko Fričowi wystąpił Eduard Seler, ten sam który wcześniej wysłał go do Brazylii. Z ust berlińskiego amerykanisty posypały się słowa potępienia: „absolutnie, żadne pytania polityczne nie powinny być poruszane na Kongresie”. Podobnie jak Karl von den Steinen uważał on, że kwestie polityczne nie powinny być łączone z nauką. Selerowi zależało jednak na tym, aby oskarżenia podniesione z trybuny zostały właściwie sprostowane przed tym samym gremium. Zaprezentował on rysunek umieszczony na broszurze Hugo Genscha, przedstawiający Marię Korikrān. Zrobił to najpewniej w celu udowodnienia sukcesu w „cywilizowaniu Indian” i wykazania, że denuncjacje Friča na temat handlu tubylczymi dziećmi były nieściste. Seler nie negował faktu prowadzenia wojen granicznych z Indianami, które powinny „oburzać ludzkie serca”, ale jak sam zaręczał, otrzymał niedawno informacje z Brazylii „potwierdzające”, że pojawiły się warunki umożliwiające zakończenie tych niesprawiedliwości. W tym fragmencie Seler świadomie minął się z prawdą lub został przez kogoś wprowadzony w błąd, ponieważ gwałtowne starcia między Xoklengami a kolonistami trwały jeszcze kilka lat. Później nastąpiła długa tyrada na temat nieścistości naukowych w wystąpieniu Friča, co miało

prawdopodobnie osłabić moralizatorski ładunek zawarty w jego prelekcji. Kongres zamykano z wrażeniem, iż doszło do spięcia na polu naukowym dotyczących lingwistyki tubylczej Ameryki. Do prasy i opinii publicznej przedostał się jednakże właściwy ciężar sporu.

O incydentach na Kongresie rozpisywały się najważniejsze dzienniki w Berlinie, które gwałtownie zaprzeczały oskarżeniom o złe traktowanie Indian. Na celowniku ponownie znalazły się znikoma wiedza i umiejętności kierunkowe Friča. Nazywano go „czeskim nacionalistą”; „dziwacznym idealistą”, zarzucano, że wtrąca się w rzeczy, które w zupełności go nie dotyczą. Starano się również bagatelizować jego osobę, ekscesy których dopuścił się na Kongresie przerzucając na karb młodzieżowego wygłupu i braku doświadczenia. Potrzebujących mocniejszych argumentów odsyłano do wystąpień naukowych. Karl von den Steinen podkreślał, że „polityczny kolonializm nie należy absolutnie do spraw forum” Kongresu Amerykanistów. Cztery miesiące po gorącym sporze w Wiedniu, Max Weber wezwał zgromadzenie socjologów w tym samym mieście, aby konsekwentnie „unikało wszelkich dyskusji na tematy moralne, polityczne i religijne”, co pozwoli zachować mu dyscyplinę i zabezpieczyć się przed zewnętrzną ingerencją. Echa dyskusji jakie rozbrzmiewało w Europie za sprawą Friča nie można było zamknąć już na Starym Kontynencie. Wkrótce dotarło ono do Brazylii, gdzie spór na tym tle rozgorzał za przyczyną kogoś kto zabrał się do roztrząsania problemu z zupełnie innej pozycji ideowej.



Hermann von Ihering urodził się w 1850 roku w Kilonii. Pierwsze trzydzieści lat swojego życia spędził w ojczyźnie, tam obronił doktorat z medycyny na Uniwersytecie w Getyndze i zaliczył epizod w pułku muszkietierów. Do Brazylii wyjechał w 1880 roku, gdzie kontynuował początkowo praktykę lekarską, przeobrażając się z czasem w czołowego niemiecko-brazylijskiego zoologa i etnologa. W 1883 roku podjął pracę w Brazylijskim Muzeum Narodowym. W 1887 roku rozpoczął nadzór nad rekonstrukcją Museu Paulista w São Paulo by siedem lat później zostać jego pierwszym dyrektorem. Poważne funkcje jakie zajmował podczas 36-letniego pobytu w Brazylii oraz opinia tytana pracy, nie uchroniły go przed popełnieniem fatalnych pomyłek. To Hermann von Ihering spopularyzował określenie „Aweikoma” w stosunku do Xoklengów, które zamiennie używano przez następne dziesięciolecia. Przypisując im je przekonany był, że odkrył nazwę własną tego ludu, używaną przez jego członków do samoidentyfikacji rodzimej wspólnoty plemiennej. Sam nazywając ich wcześniej „Dzikimi Kaingangami”, postawił sobie być może za punkt honoru odnalezienie celniejszego synonimu. Szkopuł tkwił jednakże w tym, że słowo „aweikoma” stanowiło część sformułowania pochodzącego z języka Xoklengów używanego celem

zaproszenia kobiety do odbycia stosunku seksualnego. Pomyłkę von Iheringa moglibyśmy zapisać jeszcze na konto kolonialnej niezręczności, lecz nie stanowiła ona najpoważniejszego wystąpienia przeciwko godności ludności tubylczej Brazylii na jakie pozwolił sobie dyrektor Museu Paulista.

Kiedy wybuchła wrzawa wokół kampanii Friča w Brazylii, a później dotarły pokongresowe głosy z Wiednia, von Ihering zaczął wchodzić w polemikę ze zwolennikami humanitaryzacji podejścia do Indian. Z pozycji intelektualnej starał się wyartykułować program którego broniło środowisko skupione wokół *Der Urwaldsbote*. Propozycje sprzężone z zamysłami Fouqueta wygłaszał wcześniej; jako przekonany darwinista społeczny czynił to ponownie przy kolejnych nadarzających się okazjach. W zamieszczeniu powiedeńskim gazeta „O Estado de Sao Paulo” w numerze z 12 października 1908 opublikowała tekst von Iheringa, w którym powołując się na doświadczenia z rdzenną ludnością ze stanu Sao Paulo przekonywał, że nie stanowi ona elementu pracy i postępu. Zwracał uwagę bezpośrednio na Xoklengów, owych „dzikich Kaingangów”, którzy stanowią przeszkodę dla cywilizacji, tam gdzie tylko żyją. Kończąc swój wywód autor przekonywał, że wydaje się nie istnieć inna droga, jak tylko wezwanie do ich eksterminacji. Chłodne i wykałkulowane zalecenia dyktowane ze sztambuchu naukowca z Sao Paulo budziły narastający sprzeciw.

Wyrażał go między innymi wywodzący się ze środowiska paulistowskich pozytywistów Silvio de Almeida, którego odpowiedź zamieszczono na łamach *Jornal do Comércio*. Zdecydowanie odrzucał on sugestie von Iheringa zalecającego zagładę Indian, wskazując, że odgrywali oni istotną rolę w różnych momentach historii Brazylii. Poczyniwszy uwagi o tym, że współczesna nauka sprowadzona z Niemiec nie sprzyja brazylijskiej kulturze potępił bezpośrednio ideologa zagłady nazywając propagowane przez niego środki mianem „barbarzyńskiej przemocy”. Był to dopiero początek. Wpływowa pozycja jaką zajmował von Ihering w świecie brazylijskiej

nauki wywołała szereg protestów przeciwko jego sądom, które nazajutrz mogły zostać przepchnięte w którejś z krajowych podkomisji. W 1909 roku opublikowano wiadomość jaką wysłał Candido Mariano da Silva Rondon do João Batisty Lacerdy, ówczesnego dyrektora Muzeum Narodowego w Rio de Janeiro. Wspinający się po szczeblach wojskowej kariery inżynier Rondon zdobył sobie wielkie uznanie i szacunek za pracę przy stawianiu w najodleglejszych zakątkach kraju linii telegraficznej. Wchodząc w bliskie kontakty z plemionami które wcześniej dystansowały się wobec brazylijskiego społeczeństwa, uznany został za przyjaciela Indian – stał się człowiekiem, z opiniami którego się liczone. W korespondencji do Lacerdy Rondon przestrzegał, że pomysły związane z eksterminacją ludności tubylczej, ukazywane jako element postępu, są zwyczajnym pretekstem wykorzystywanym przez uzurpatorów w celu przejęcia kolejnych terytoriów należących do społeczności autochtonicznych.



Po kontrowersjach jakie wzbudziły jego obwieszczenia, Herman von Ihering napisał kilka artykułów, w których starał się łagodzić negatywne wrażenie i idące za nim niepochlebne komentarze. Przypominał, wskazując na siebie, że jest autorem planu ochrony rdzennych terytoriów, natomiast jego uwagi o zabijaniu dotyczą jedynie „tych wspólnot, które utrudniają postęp cywilizacji”. Nie było to ustępstwo, a raczej przypudrowana reedycja tego, o czym mówił wcześniej, w 1907 i

1908 roku. Opinię tę powtarzał ponownie, przy ocenie starć odnotowywanych między Indianami a robotnikami operującymi przy budowie linii kolejowych, przecinających tubylcze domeny. Ihering domagał się usunięcia niedogodności stawiających tamę „szynie cywilizacji”. Skrajności propagowane przez niego zamiast kompromitować hasła Ligi Patriotycznej, przyspieszyły powołanie do życia instytucji, której zadaniem było wyśrodkowanie dwóch odrębnych interesów: rozwoju gospodarczego Brazylii oraz zabezpieczenie egzystencji ludów indiańskich. Tak oto powstała w 1910 roku Służba Ochrony Indian (SPI), poprzedniczka funkcjonującej w Brazylii do dziś rządowej agencji ds. Indian (FUNAI). Już wtedy w latach 1890-1910 pojawiały się nieśmiałe propozycje traktowania ludów indiańskich w Brazylii jako wolnych i niezależnych narodów; teraz zwyciężało jednak twarde podejście pozytywistyczne zakładające powolną unifikację ze społeczeństwem narodowym. Dlatego do głównych zadań postawionych przed SPI należało wydzielenie rezerwatów dla autochtonów, położenie kresu wędrówkom plemion prowadzącym nomadyczny tryb życia, likwidacja ognisk konfliktu między Indianami a ludnością napływową oraz powolna akulturacja rezerwatowych wychowanków do norm propagowanych w brazylijskim społeczeństwie narodowym. Do pracy w SPI powołano rządowych funkcjonariuszy, tolerując na ogół przedsięwzięcia religijnych misjonarzy.

Służba Ochrony Indian przy całym zaangażowaniu i szczerości intencji niektórych funkcjonariuszy, powstała przede wszystkim po to, aby zabezpieczyć pokojową ekspansję rozrastającego się społeczeństwa brazylijskiego wzbogacanego napływem zagranicznych imigrantów. Rezerваты grupujące rdzenną ludność cierpiały na problemy aprowizacyjne. Środki przeznaczone na rdzenną ludność bywały bezwstydnie rozkradane lub były po prostu za małe. Z biegiem lat także niektóre posterunki ochrony rdzennej ludności, a dokładniej jej służba, ulegały degeneracji; lokalni funkcjonariusze zamiast pomagać swym podopiecznym po cichu wspierali szajki wysysające z rdzennych terytoriów bogactwa naturalne. Na początku XX wieku powstanie

SPI było niemniej ważnym wydarzeniem, zwycięstwem nad frakcją siłową, domagającą się bezwzględnie znaczenia pochodzenia „brazylijskiego postępu” strugą krwi.

W czasie tym rdzenna ludność Amazonii dziesiątkowana była przez „gorączkę kauczukową”, do starć między osadnikami a Indianami dochodziło w stanach Minas Gerais i Espírito Santo; tam również korzystano z usług formacji przypominających bugrejów. W 1898 roku w stanie Mato Grosso wyruszyła wyprawa eksterminacyjna wymierzona w lud Umutina. Bezpośredni wpływ na powołanie SPI miało jednak ciężkie położenie rdzennej ludności w południowobrazylijskich stanach Parana i Santa Catharina oraz głośna debata jaka wywiązała się na ten temat w Brazylii i Europie – debata zmuszająca w efekcie brazylijskie koła polityczne i intelektualne do zajęcia moralnego i prawnego stanowiska wobec upublicznionych i wylewających się zewsząd niegodziwości.

BUDUJĄC PRZYSZŁOŚĆ NA GRUZACH PRZESZŁOŚCI

„Sumienie nakazuje nam oświadczyć głośno wobec całego kraju, jak dalece przynosi nam wstyd położenie ludności brazylijskiej w tym rejonie żyjącej w stanie skrajnego upodlenia. Wystarczy powiedzieć, że ci pariasi są do tej pory przedmiotem polowania na niewolników, pędzonych przemocą do ciężkiej pracy przy eksploatowaniu drzew kauczukowych. Dzieje się to w kraju, szczycącym się ustawami o wolności, braterstwie i równości” – napisano w 1909 roku w sprawozdaniu z obszaru dorzecza Rio Negro w Amazonii, przedłożonym rządowi federalnemu w Rio de Janeiro. Działania mające zmienić ten stan były powolne i ślamazarne, narażone na ostentacyjną niechęć ludności osadniczej patrzącej z niepokojem na wprowadzanie nowych porządków. W 1910 roku do stanu Santa Catharina, celem przygotowania misji kontaktowej z Indianami Xokleng skierowany został porucznik José Vieira da Rosa, wytypowany na te stanowisko przez Rondona. Misja kontaktowa prowadzona przez SPI miała zakończyć wędrowny tryb życia Xoklengów, przekształcić ich w chrześcijan i pracowników wiejskich.

Proces ten stanowił kontynuację krucjaty przeciwko integralności rdzennych wspólnot. Jediną alternatywą wdrażaną równolegle przez zorganizowane grupy była jednakże eksploatacja i zbrojna pacyfikacja. Ruch reprezentowany przez SPI przedstawiał więc sobą mniejsze zło.

Pomimo rządowej inicjatywy pokojowej nie udawało się na południu Brazylii wygasic działalności bugreiros; dziesiątkowani na potęgę Xoklengowie szukali zaś zadośćuczynienia za doznane krzywdy. Egzystujący na kurczących się ostępach ziemi sięgali po źródła pożywienia znajdujące się w osadniczych zagrodach. Od 1910 r. do listopada 1913 r. w Dolinie Itajai Indianie zabili ośmiu osadników, ranili dziewięciu i ubili 600-700 zwierząt gospodarskich. W specjalnym wydaniu Der Urwaldsbote z 14 września 1913 roku redakcja gazety skrytykowała nieskuteczne wysiłki z lat 1911-1913, nie przynoszące oczekiwanego nawiązania stosunków z Botokudami: „Katecheza jest stratą pieniędzy, nie prowadzi do oswojenia Indian”. W osobistej laurce z 9 listopada 1913 roku Fouquet pisał z kolei, iż brak katechezy powoduje coraz większe oburzenie mieszkańców wobec tychże katechetów. Wysiłek SPI wydawał się w odwrocie. Ostra krytyka Ligi Patriotycznej ze strony niemieckich osadników w zasadzie wyhamowała jej aktywność w regionie. Gdy szanse na pomyślne rozwiązanie konfliktu wydawały się podupadać na pierwszy zainstalowany posterunek SPI w Brazylii, w górnym biegu rzeki Itajai, skierowano Eduarda de Limę e Silvę Hoerhana, młodego człowieka mającego szwajcarskie korzenie, który już w gimnazjum przejął się humanitarnymi hasłami Rondona. W pełni podzielał on sformułowaną przez niego dewizę: „Jeśli musisz zgiń, ale nie zabijaj”.



W roku 1914 Hoerhan nawiązał pierwszy pomyślny kontakt z Xoklengami. Indianie napadli na posterunek SPI akurat kiedy przebywał w pobliskim miasteczku Hammonia. Gdy przybył na miejsce zdarzenia z asystującymi mu ludźmi ujrzał kilku tubylczych mężczyzn siedzących wokół dopalających się zgliszczy posterunku. Xoklengowie dostrzegłszy nadchodzącą grupę napięli łuki. Hoerhan odważnie wysunął się naprzód; znając kilka słów w ich języku zaczął doń przemawiać. Mając w swoją stronę wycelowane strzały odrzucił trzymaną w ręce broń i począł przesuwając się w kierunku Indian.. Któryś z wojowników wypuścił strzałę, ale po chwili dowierając pokojową intencją Hoerhana wszyscy porzucili uzbrojenie wchodząc w bezsporny kontakt. Zdarzenie to zaowocowało szeregiem ponownych interakcji między Hoerhanem a ściągającymi z różnych stron krajowcami. Początkowo nieufne i pełne napięcia zakończyły się osiedleniem Indian. W ciągu kilku lat Hoerhanowi udało się zgromadzić tym sposobem około 400 Xoklengów. W roku 1918 João Gomes Pereira, znany jako João Serrano, przyciągnął 50 nowych autochtonów. Niestety opłacani nadal z prywatnych kieszeni bugreiros nie zawieszali swojego procederu, tak długo jak mogli na tym zarobić. Ireno Pinheiro wspominał po latach, że dochody ludzi trudniących się tym fachem spadły kiedy do funduszu wspierającego działalność pogranicznych najemników przestał dopłacać rząd. Ci którzy gotowi byli trzymać palec na spuście pomimo niesprzyjających warunków praktykowali proceder polowań na Indian do wczesnych

lat 1940.

Szacowano, że południowe grupy Xoklengów zostały całkowicie wyniszczone do 1925 roku. W 1949 r. ku zdumieniu obserwatorów, po dekadach życia w strachu, z lasu położonego między gminami Orleães i São Joaquim wyszła trójka ocalałych z masakry. Dwójka z nich wkrótce zmarła na gripę. Ilu żyło tych dumnych ludzi w 1850 roku gdy Hermann Blumenau rozpoczynał przedsięwzięcie kolonizacyjne? Nie łatwo odpowiedzieć na te pytanie gdyż statystyka śmiertelności Indian nie była nigdy prowadzona wśród społeczeństwa kolonialnego. Najbardziej zachowawcze przypuszczenia mówią o nieco ponad 3000 wędrujących Indian przemierzających obszar między Kurytybą a Porto Alegre. Stanisław Kłobukowski pisał o populacji przeszło 10000 Botokudów w samym tylko stanie Parana. Gdzie indziej mówi się o gromadzie ludzkiej oscylującej w okolicach 13000-14000 dusz. Bez względu, które spośród tych założeń przyjmiemy za punkt wyjściowy, niewiele ponad 400 Xoklengów żyjących w 1915 roku, obrazuje ogrom strat jakich lud ten doznał podczas ekspansji kolonizacyjnej, a także zażartość frakcji osadniczej dążącej do wyniszczenia ludności tubylczej zajmującej cenne gospodarczo ziemie.



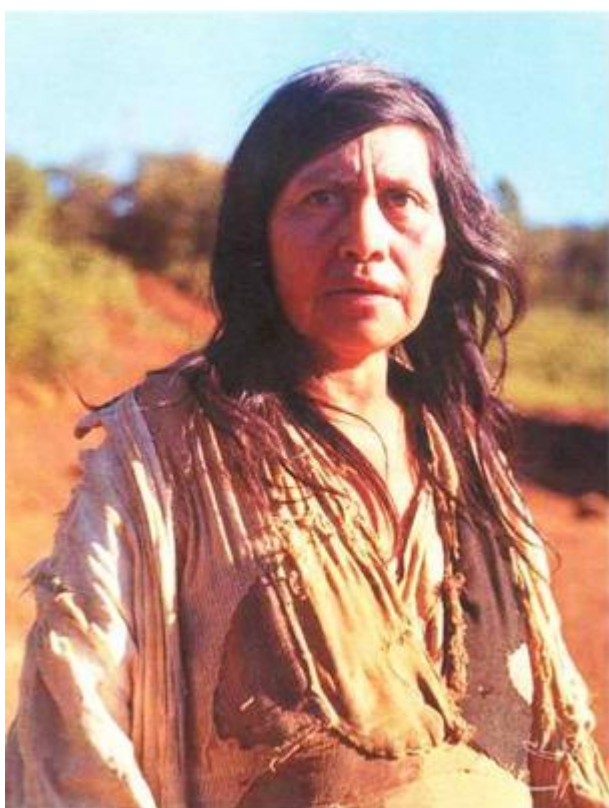
Misja Hoerhana nie zatamowała potoku łez lejącego się w indiańskich domach. Wysoka śmiertelność rdzennej ludności wchodzącej w stały kontakt ze społeczeństwem narodowym była najtragiczniejszym rozdziałem zmian zachodzących podczas transformacji prowadzonej przez SPI. Organizmy społeczności autochtonicznych nie wykształciły przeciwciał potrafiących stawiać odpór chorobom przywleczonym przez przybyszy. Dotykani epidemiami grypy, ospy i czerwonki masowo umierali. Kiedy antropolog Jules Henry pojawił się wśród Xoklengów w 1932 r. celem przeprowadzenia wnikliwych badań, spotkał jedynie 106 Indian. Wyniszczające choroby w ciągu 20 lat uszczupliły populację Xoklengów o dalsze 80%. Pewnego dnia Hoerhan, zwany przez Xoklengów „opiekunem” poruszony hekatombą jaka dotknęła ludność na straży dobrostanu której stanął powiedział, że gdyby wiedział w jak fatalnej kondycji ją później zobaczy, zostawiłby tych ludzi puszczy w lesie, aby tam co najmniej szczęśliwsi mogli zginąć z bronią w ręku stawiając opór bugrejrom. W lata 30. XX wieku Xoklengowie wchodzili znajdując się na skraju zagłady z populacją niewiele ponad minimum umożliwiającym demograficzną regenerację.

Pacyfikacja Xoklengów-Laklano niosła za sobą niepowetowane

straty. Obniżył się wiek w jakim xokleńskie kobiety rodziły dzieci. Wcześniej zajście w ciążę w wieku 12-13 lat postrzegano jako skandal, od momentu zbliżenia ze społeczeństwem narodowym przeobraziło się w incydent powtarzalny. Przed kontaktem między kolejnymi narodzinami dzieci, xokleńskie kobiety zachowywały odstęp 3-4 lat. Po 1914 roku zachodziły w ciążę nawet co roku. Dzieci karmiono piersią krócej niż dotąd, efektem czego odporność niemowląt mała, prowadząc do wzrostu śmiertelności wśród najmłodszej grupy wiekowej. Pojawiła się prostytutka, a za nią przyszły choroby weneryczne, które wcześniej wśród Xoklengów nie występowały. Indianie szybko zaczęli zatracać własne elementy kulturowe. Niemożność przeciwstawienia się epidemiom dziesiątkującym całe rodziny dezawuowała znaczenie medycyny naturalnej. Jednocześnie działacze SPI obawiając się, że może to mieć wpływ na rozprzestrzenianie infekcji zachęcali ich do odchodzenia od rytuałów związanych z piercingiem i skaryfikacją. Wkrótce porzucono tradycyjny ceremoniał kremacji ciała po śmierci – w niepamięć poszedł również rytuał inicjacyjny podczas którego dorastający chłopcy otrzymywali botok.

Od lat 1950. do społeczności xokleńskich zaczęły dołączać niewielkie grupy Indian Guarani i Kaingang. Członkowie plemion z którymi wcześniej wędrujące szczepy rywalizowały o dostęp do owoców piniorowych na płaskowyżu, nawiązywali teraz z nimi bezpośrednie relacje. W 1962 Silvio Coelho dos Santos doliczył się 160 Xoklengów, 33 Guarani, 11 Kaingangów oraz 82 metysów żyjących w granicach wspólnoty. Kolejne statystyki rejestrowane przez FUNAI potwierdzały rosnącą populację Xoklengów wchodzących w mieszane małżeństwa. Odpowiednio w 1980 roku zanotowano obecność 529 Kaingangów, 102 Guarani, 88 Kaingangów i 129 metysów; natomiast w 1997 roku 723 Xoklengów, 54 Guarani, 21 Kaingangów i nieco ponad 140 nie-Indian. Z powodu prowadzonej przez dziesięciolecia polityki integracyjnej i małżeństw mieszanych zdecydowana większość młodych ludzi mówi dzisiaj w języku portugalskim. Od 1992

roku, z inicjatywy członków plemienia, przy wsparciu lokalnych gmin i Uniwersytetu w Blumenau, prowadzony jest jednak program restytucji zamierającej spuścizny językowej. Na początku do szkół trafiła broszura w rodzimym języku ze stron której dzieci poznawały zachowane legendy swoich przodków. Dzisiaj własna mowa zyskuje coraz większe znaczenie. Stając się ważnym symbolem politycznym używana jest podczas publicznych wystąpień i odgrywa istotną rolę w budowie tożsamości etnicznej.



Xoklengowie w trakcie akulturacji właściwie zatracili stare wierzenia religijne. Obecnie są chrześcijanami należącymi do Zborów Bożych Brazylii. W cieniu zmian jakie zaszły w ich życiu na przestrzeni ostatnich 100 lat roczny kalendarz plemienia wciąż zapełniają elementy rozproszonej tradycji. Co roku 19 kwietnia każda xokleńska wioska obchodzi Dzień Indianina. Odbywa się wówczas uroczystość w trakcie której dzieci śpiewają hymn i recytują wiersze w języku portugalskim i rodzimym. Wiele osób ubiera z tej okazji przepaski biodrowe, wykonuje malunki na ciele, nosi nakrycia głowy i naszyjniki. W 1998 roku część Xoklengów po raz pierwszy od lat 1930. przeprowadziła obrzęd

inicjacji młodych w trakcie którego pito tradycyjny, sfermentowany napój. Wśród opowiadanych mitów zachowało się podanie o potopie. W zamierzchłych czasach gdy Ziemię nawiedziła wielka powódź, przodkowie Xoklengów zbiegli na płaskowyż. Ścigani przez podnoszący się poziom wody wdrapali się na szczyty gór, a potem na wierzchołki drzew. Zmuszeni do zmiany trybu życia żywili się liśćmi, owocami, owadami i larwami. Po potopie stęsknieni za lądem ludzie powrócili na równiny i doliny. Niektórzy spośród nich przywykłszy do nowego środowiska pozostali jednak na drzewach. Ci którzy tak dobrze przystosowali się do nowych warunków, że zamieszkali w koronach drzew na stałe, są dziś małpami.

Większość Xoklengów-Laklano żyje dziś w rezerwacie Ibirama, około 260 km na północny zachód od Florianopolis i 100 km na zachód od Blumenau. Jak na ironię w nowej, jakbyśmy powiedzieli, pokojowej epoce kontaktów ze społeczeństwem brazylijskim, autochtoni znowu ponoszą uboczne koszty pomyślności i bezpieczeństwa miasta Blumenau. W latach 70. XX wieku podczas rządów dyktatury wojskowej, bez przeprowadzenia badań oddziaływania na środowisko i zgody lokalnych mieszkańców zbudowano zaporę na rzece Hercilio, przebiegającą obok południowo-wschodniej granicy indiańskiego rezerwatu, mającą w zamyśle chronić przed powodzią miasta przemysłowe, takie właśnie jak Blumenau i Indaia, położone w niższych partiach Doliny Itajai. Zbiornik wodny jaki powstał celem obsłużenia tamy pochłonął 900 ha gruntów rolnych i ziem leżących w granicach terytorium indiańskiego. Inwestycja wywołała dodatkowy konflikt między drwałami, osadnikami i rdzenną ludnością. Zapora regulująca przepływ wody przesunęła ciężar wahań bilansu hydrologicznego na górny bieg rzeki. Podczas gdy na przełomie maja i czerwca 2014 roku Blumenau pozostawało wolne od powodzi, setki rodzin Xokleng-Laklano zamieszkujących górną część Doliny Itajai przeżywało dramat. Powódź odizolowała całkowicie cztery indiańskie wioski. Drogi stały się nieprzejezdne, szkoły zamknięto, skarżono się na niedobór żywności i lekarstw. Woda zalała wiele domów, kilka

indiańskich rodzin musiało w pośpiechu opuścić swoje domy, niektóre zrobiły to samo w obawie przed niebezpieczeństwem zaistnienia osuwisk ziemi.

Potomkowie europejskich emigrantów z Niemiec, Włoch i Polski stanowią do dziś znaczny odsetek mieszkańców południowej Brazylii. Po pacyfikacji Indian Xokleng do Brazylii przybywały kolejne fale wychodźców. W 1929 roku populacja polskich emigrantów w kraju południa przekroczyła 230 tysięcy osób. Wspólnoty europejskie do lat 30. zachowywały silną integralność, spoistość ta podważona została w 1938 roku gdy podczas rządów Getulio Vargasa rozpoczęto proces nacjonalizacji. Odbył się to kosztem likwidacji szkół i ośrodków kultury służących kultywowaniu i podtrzymaniu tradycji przywiezionych z Europy. Według różnych szacunków polonia brazylijska liczy sobie dzisiaj od 800 tysięcy do 3 milionów osób. Zdecydowana większość zamieszkuje stany Parana, Santa Catharina i Rio Grande do Sul. Liczba Brazylijczyków pochodzenia niemieckiego oscyluje w granicach 2,5-5 milionów osób. W stanach Rio Grande do Sul i Santa Catharina prawie 40% mieszkańców ma korzenie niemiecko-brazylijskie. Różnorodność tradycji i zwyczajów jakie przywieźli ze sobą do Santa Cathariny Europejczycy odzwierciedla różnorodność szaty przyrodniczej cechującą ten stan. Oktoberfest obchodzony równie hucznie jak w Niemczech, należy do jednych z największych festiwali odbywających się na brazylijskiej ziemi zaraz po Karnawale w Rio de Janeiro.

Autor: Damian Żuchowski
Dla „Wolnych Mediów

PRZYPISY

[2] Indianizm stanowił prąd umysłowy oddziałujący na sztukę, literaturę i kulturę brazylijską. Będąc jednym z nurtów miejscowego romantyzmu, wkrótce całkowicie go zdominował, stając się osobnym prądem. Obok gloryfikacji postaci Indianina, czym przypominał wcześniejszą literaturę

europejską, zwracał się w kierunku kultury indiańskiej, przede wszystkim jej potocznego wyobrażenia, jako wektora, który zbuduje nową tożsamość brazylijskiego społeczeństwa po zrzuceniu zależności od Portugalii. Najważniejszymi przedstawicielami literatury czasów indianizmu w Brazylii byli powieściopisarz José de Alencar (powieść „Indianin ze szczepu Guarani”) oraz Antonio Gancalves Dias (poemat „Timbirowie”)

[3] W latach 1904-1907 wojska niemieckie stłumiły powstanie ludów Herero i Nama w Namibii, będącej regionem zakusów kolonialnych niemieckiej administracji. Wyniszczająca odpowiedź żołnierzy dowodzonych m.in. przez Lothara von Trothę doprowadziła do spadku populacji Hererów z ok. 80 tys. do 16 tys. ludzi i śmierci co najmniej 10 tysięcy członków ludu Nama. Oprócz zbrodni wojennych celem redukcji populacji afrykańskich ludów wzniesiono obozy koncentracyjne, stosowano pracę przymusową i celowo głodzono obłączonych i uwięzionych. Analiza wspomnień publikacji niektórych żołnierzy i administratorów biorących udział w akcji, dowodzi, że na światopogląd ich rzutowały w znacznej mierze popłuczyny darwinizm społecznego.

[4] W 1900 roku cesarz niemiecki Wilhelm II w ramach porozumienia ośmiu krajów wysłał do Chin korpus wojskowy, który miał wziąć udział w tłumieniu powstania bokserów. Ofiarami konfliktu byli głównie chińscy chrześcijanie, europejska prasa skupiała się jednakże na śmierci kilkunastu Europejczyków. Niemiecki monarcha szczególnie miał na uwadze napaść na niemieckie poselstwo i zabicie posła Klemensa von Ketterlera. W napadzie szału domagał się zrównania Pekinu z ziemią. Podczas pożegnania niemieckiego korpusu w Bremerhaven 27 VII 1900 r. wygłosił mowę, która przeszła do historii jako „mowa Hunów”. Wilhelm II nakazał niemieckim żołnierzom wówczas następującą linię postępowania: „Tępić bez pardonu, nie brać jeńców, kto wpadł wam w ręce, niech ginie. Podobnie jak tysiąc lat temu Hunowie zdobyli sławę pod przywództwem swojego króla Attyli, co w dużym stopniu pojawia się jeszcze dziś w

przekazach i w legendach, tak niech zapisze się dzięki wam na tysiące lat w Chinach imię Niemców w taki sposób, żeby nigdy żaden Chińczyk nie odważył się chociażby krzywo spojrzeć na Niemca”.

BIBLIOGRAFIA:

1. W. Wójcik: „Nie zabijaj Indianina czyli rzecz o dwóch kulturach”, Warszawa 1974
2. Jerzy Ostrowski, „Okrutni Botokudzi”, w. „Śladami Indian. Antologia polskich relacji o Indianach Ameryki Południowej”, Wrocław 1979
3. Stanisław Kłobukowski, „W Paranie”, w. „Śladami Indian. Antologia polskich relacji o Indianach Ameryki Południowej”, Wrocław 1979
4. Agnieszka Mocyk, „Piekło czy Raj? Obraz Brazylii w piśmiennictwie polskim w latach 1864-1939”, Kraków 2005
5. Stefan Zaborski, „Cukier, złoto i kawa. Dzieje Brazylii”, Warszawa 1965
6. David Olusoga, Casper W. Erichsen, „Zbrodnia Kajzera”, Warszawa 2012
7. Nelson Werneck Sodré, „Historia literatury brazylijskiej”, Warszawa 1975
8. Walter G. Stephan, Cookiem W. Stephan, „Wywieranie wpływu przez grupy”, Gdańsk 2003
9. R.H. Nocoń, „Kobieta w życiu Indian Ameryki Południowej”, Katowice 1967
10. Rafael Casanova De Lima E Silva Hoerhann, „O Serviço De Proteção Aos Índios E A Desintegração Cultural Dos Xokleng (1927 – 1954)”, Florianópolis 2012
<http://etnolinguistica.wdfiles.com/local-files/tese%3Ahoerhann>

-2012/hoerhann_2012_xokleng.pdf

11. Rafael Casanova de Lima e Silva Hoerhann, „O Serviço De Proteção Aos Índios E Os Botocudo: A Política Indigenista Através Dos Relatórios (1912 – 1926)”, Florianópolis 2005
<https://repositorio.ufsc.br/bitstream/handle/123456789/102410/213905.pdf>

12. H. Glenn Penny, „The Politics of Anthropology in the Age of Empire: German Colonists, Brazilian Indians, and the Case of Alberto Vojtech Fric”
<http://macro-je.wdfiles.com/local-files/item:274/Penny2003.pdf>

13. Catia Dagnoni, „O Choque Entre Dois Mundos O Contato Entre O Índio E O Branco Na Colonização Do Vale Do Itajai – um estudo sobre a interpretação do imigrante europeu a respeito dos Xokleng. 1850 – 1914”
http://proxy.furb.br/tede/tde_arquivos/3/TDE-2009-02-18T080906Z-442/Publico/Diss%20Catia%20Dagnoni.pdf

14. Silvio Coelho Dos Santos, „Os Índios Xokleng. Memória Visual”
<http://pl.scribd.com/doc/85512873/LIVRO-OS-INDIOS-XOKLENG-MEMORIA-VISUAL-Parte-01>

15. Sílvio Coelho Dos Santos, „Encontros De Estranhos Além Do “Mar Oceano”
http://ceas.iscte.pt/etnografica/docs/vol_07/N2/Vol_vii_N2_431-448.pdf

16. Ursula Prutsch, „Migrantes na periferia: indígenas, europeus e japoneses no Paraná durante as primeiras décadas do século XX”, 2012-2013
<http://www.scielo.br/scielo.php?pid=S0104-59702014000100218>

17. Ursula Prutsch, „Zusammenprall der kulture (Zentraleuropäische Kolonisten in Brasilien, Argentinien und Paraguay zwischen 1850 und 1930.)”
<http://webcache.googleusercontent.com/search?q=cache:CDSu6hxTB>

k8J:www.van.at/alt/house/3house/verlag/dis/text/dis013.rtf

18. Suelen Pacheco Mazzucco, „As Representações Dos Índios Xokleng Na Historiografia Regional Do Extremo Sul Catarinense”, Criciúma 2013

<http://repositorio.unesc.net/bitstream/handle/1/2188/Suelen%20Pacheco%20Mazzucco.pdf>

19. Gabriel Passold, „Xokleng E A Negação De Sua Identidade Pelos “Outros”: O medo e a intolerância nas relações interétnicas”, Blumenau 2008

http://www.bc.furb.br/docs/M0/2009/338422_1_1.PDF

20. Ruy Christov Am Wachowicz, „A Imigração E Os Botocudos (Xokleng) Do Taió”

<http://anpuh.org/anais/wp-content/uploads/mp/pdf/ANPUH.S04.17.pdf>

21. Odécia Almeida De Souza, „Conflitos E Mudanças – Os Xokleng E Os Imigrantes Europeus No Vale Do Rio Ararangua Durante A Segunda Metade Do Seculo XIX”

<http://www.bib.unesc.net/biblioteca/sumario/000028/00002886.pdf>

22. Daniela Da Costa Claudino, „Arqueologia Na Encosta Catarinense: Em Busca Dos Vestigios Materiais Xokleng”, São Leopoldo

<http://biblioteca.asav.org.br/vinculos/tede/DanielaClaudinoHistoria.pdf>

23. Mariana da Silva Gonzalez Encina, „A Historia Dos Povos Xokleng E O Direito A Educação Indígena”

<http://proxy.furb.br/ojs/index.php/juridica/article/view/3175/2374>

24. Joaquim Rodrigues De Melo, „A Política Indigenista No Amazonas E O Serviço De Proteção Aos Índios: 1910-1932”, Manaus 2007

http://www.livrosgratis.com.br/arquivos_livros/cp102834.pdf

25. Lilia K. Moritz Schwarcz, „Usos E Abusos Da Mesaíçagem E Da Mça No Brasil: uma história das teorias raciais em finais do século XIX.”

http://www.afroasia.ufba.br/pdf/afroasia_n18_p77.pdf

26. Povos Indigenas No Brasil, Xokleng

<http://pib.socioambiental.org/en/povo/xokleng>

27. Flamariom Santos Schieffelbein, „Matar Bugres: Xokleng E A Colonização Do Alto Vale Do Itajai”

<http://www.revistapersona.com.ar/Persona65/65Flamariom.htm>

28. Andrzej Grzeszczuk „Polonia Brazylijska”

http://poloneses.org/pl/polonia_brazylijska.html

29. Zygmunt Chelmicki, „No Brasil”

<http://czytelniabrasil.blogspot.com/2010/09/pezygmunt-chelmicki-no-brasil-segunda.html>

30. Gazeta Codzienna. Gazeta Toruńska, 22 IV 1903

<http://www.kpbc.ukw.edu.pl/dlibra/plain-content?id=62548>

31. Stanisław Kłobukowski, „Wspomnienia z Podróży”

<http://czytelniapolska.blogspot.com/2010/09/wspomnienia-z-podrozy-st-klobukowski.html>

32. Natã Gakran, „Maria Korikrã – Uma trágica história”

<http://www.laklano.org/>

33. Historia de Nova Veneza SC

http://www.achetudoeregiao.com.br/sc/nova_veneza/historia.htm

34. Sandor Fernando Bringmann, „A história indígena revisitada: a experiência Xokleng. Indigenous History revisited: the Xokleng experience”

http://www.anpuh-sc.org.br/revfront_17%20pdfs/res2_vapor_e_o_botoque_sandor.pdf

35. Marcelo Hübel, „Índios Xokleng- Pioneiros. Índios Habitantes De Longa Data”

<http://marcelohubel.blogspot.com/2013/04/indios-xokleng-pioneiros.html>

36. Martin Stabel Garrote, „Os Conflitos Étnicos Entre Colonos E Índios No Sul De Blumenau/SC: Memórias

<http://www.ucs.br/etc/conferencias/index.php/anpedsul/9anpedsul/paper/viewFile/2169/400>

37. Clovis Antonio Brighenti, „Povos indígenas em Santa Catarina”

<http://leiaufsc.files.wordpress.com/2013/08/povos-indc3adgenas-em-santa-catarina.pdf>

38. História de Rio Fortuna

<http://www.institutopadrepozzo.org.br/?pagina=conteudo-descricao&id=22>

39. Alberto Vojtech Frič a vubec kaktusy ve filatelii

<http://www.carciton.cz/kaktusy/clanky31.htm>

40. Oktoberfest en Blumenau: la mayor fiesta alemana de Marica

<http://www.viajeabrasil.com/blumenau/oktoberfest-en-blumenau-a-l-nordeste-de-santa-catarina.php>

41. A formação da gente blumenauense: Cultura democrática

<http://campeche.inf.furb.br/obeb/Historia/cap%202>

42. Lauterbach: Aurora de nossa história

<http://www.camaraaurora.sc.gov.br/?pg=historia>

43. Etnias de Jaraguá do Sul – Xokleng

<http://www.jaraguadosul.sc.gov.br/etnias-de-jaragua-do-sul-xokleng>

44. Flavio Braune Wiik, „Xokleng”

<http://hid0141.blogspot.com/2012/03/xokleng.html>